

SPÓŁECZNA KOMISJA ZDROWIA

# ZESZYTY NIEZALEŻNEJ MYŚLI LEKARSKIEJ

Numer 6

Grudzień 1985

Z OKAZJI SWIĄT BOŻEGO NARODZENIA  
I NADCHODZĄCEGO NOWEGO ROKU 1986  
WSZYSTKIM CZYTELNIKOM, WSPÓŁTWÓRCOM I SYMPATYKOM NASZEGO PISMA  
NAJGORĘTSZE ŻYCZENIA

SKŁADA REDAKCJA

Spis treści:	str.
Warunki sanitarno-higieniczne w więzieniach PRL.....	2
Barbara Jurkowska: Narkomania - choroba społeczna.....	8
Dwugłos o spółdzielniach lekarskich:	
1/ Maria Znana: Jakie powinny być?.....	12
2/ Ryszard Płoński: Na progu bankructwa.....	14
Jerzy Kropiwnicki: Zapis protestu /fragment/.....	16
Kącik humoru: Donos.....	30

## WARUNKI SANITARNO-HIGIENICZNE W WIEZIENIACH PRL.

Z uwzględnieniem ograniczeń związanych z pozbawieniem wolności określonych w regulaminie skazany ma prawo w szczególności do:  
1/ należytego ze względu na zachowanie zdrowia, wyżywienia, odzieży i opieki lekarskiej, oraz pomieszczenia.

/Kkw art 48/

Warunki sanitarno-higieniczne w aresztach śledczych i zakładach karnych należą do tematów - tabu od zarania PRL. Zajmują się nimi nieliczne publikacje niezależne, z których najobszerniejszą jest wydany w 1984r. przez "Głos" zeszyt Centrum Dokumentacji i Analiz: "Więźniowie polityczni PRL 1981 - 1983".

W zgodnej opinii wszystkich, którzy doświadczyli na sobie dobrodziejstw socjalistycznego wymiaru sprawiedliwości stan sanitarny więzień PRL jest fatalny. Trudno oczekiwać by więzienia były wyspami czystości w bezmiarze ogólnego brudu i zaniedbania, niemniej jednak osoby pozbawione wolności mają również prawo do warunków nie zagrażających ich zdrowiu.

Bezopelacyjne dno poziomu sanitarno-higienicznego osiągnęły areszty śledcze przy komendach MO. Składają się one z tzw. przejściówki, oraz "dołka", czyli aresztu właściwego. Przejściówka jest pomieszczeniem o niewielkiej powierzchni, wyposażonym na ogół tylko w betonową ławę, otwór kanalizacyjny na środku wybetonowanej podłogi, oraz małe, zakratowane okienko, które jest zazwyczaj otwarte, niezależnie od pory roku. W przejściówce panuje straszliwy zaduch, a zarazem jest zimno, zwłaszcza w nocy. Niczym nie osłonięta żarówka pali się przez całą dobę.

Areszt właściwy, czyli "dołek" znajduje się przeważnie w piwnicy, stąd jego nazwa. Składa się z różnej ilości cel zależnie od wielkości komendy lub komisariatu. Dużą część zajmuje podest przeznaczony do siedzenia i spania. Źródłem powietrza i światła jest jedno lub dwa zakratowane okienka, często z matowym szkłem i dodatkową przesłoną z blachy, tzw. blindą. Na noc zatrzymani otrzymują cienki materac lub koc.

W przejściówkach i celach nie ma bieżącej wody, ani ubikacji. Tylko nieliczne "dołki" są zaopatrzone w kibel, lub bombę, tj. pojemniki, do których zakatwia się potrzeby fizjologiczne, zresztą na oczach współwięźniów. Ustępy - przeważnie tzw. "tureckie", bez muszli klozetowej, znajdują się poza celą. Do zaplecza sanitarnego należą też zlewy, lub umywalki z bieżącą, na ogół zimną wodą, czasem prysznic. Z ustępów można korzystać w czasie posiłków i mycia naczyń, a poza tym zależnie od humoru strażników. Stan sanitarny obiektów tego typu jest katastrofalny. Do zjawisk powszechnych należą pchły, wszy, karakany, pluskwy i szczury. Ściany są pokryte pokładami brudu z rozmażanymi śladami krwi i ekstrementów. Materace i koce wydawane zatrzymanym są cuchnące, brudne, czasem poplamione kałem i krwią. Podłogi są zmywane przez więźniów 1 raz w tygodniu za pomocą szmaty i wiadra mydlin.

Urządzenia sanitarne są zdewastowane, brudne, zanieczyszczone odchodami. W "łazienkach" często brak kanałów odpływowych i błotnista woda zalewa całe pomieszczenie. Jeśli w ogóle istnieją jakieś przepisy normujące czyszczenie i dezynfekcję takich aresztów - bez wątpienia nie są przestrzegane.

W celach jest ciemno. Światło wpadające przez małe, zakratowane i zablindowane okienko jest niedostateczne nawet w południe słonecznego dnia.

Zatrzymani w przejściówce nie otrzymują żadnych posiłków ani picia, nawet przez kilkadziesiąt godzin. Natomiast w dołku dostają 3 posiłki dziennie: na śniadanie, kolację 1/2 litra czarnej zbożowej kawy i chleb ze smalcem, a na obiad zupę /często niejadalną/ z chlebem. Warunki w jakich przygotowuje się pożywienie okrywa tajemnica - nam znane są tylko epizodyczne fakty: np. w areszcie KDMO Warszawa Śródmieście "kanapki" dla współwięźniów robią zatrzymane prostytutki - także chore wenerycznie.

Warunki sanitarno-higieniczne w "dołkach" milicyjnych nie są oczywiście identyczne na terenie całej Polski. Absolutne pierwszeństwo w zakresie brudu i anty-higienicznych warunków ma wśród "dołków" wspomniany areszt śledczy KDMO W-wa Śródmieście przy ul. Wilczej oraz KWMO w Radomiu. Opisane po-

wyżej wydrąją się jednak typowe dla większości z nich.

Zaplecze sanitarno-higieniczne i warunki bytowe w zakładach karnych oraz aresztach "wyższego szczebla", gdzie przebywa się w śledztwie przez dłuższy czas są lepsze niż w "dołkach", lecz bardzo rozmaite. Są więzienia szczególnie ciężkie ze względu na lokalizację, znaczną dewastację budynków, brak kanalizacji itp. W innych niedbałość, a nawet sadystyczne okrucieństwo służb więziennych stwarzają warunki zagrożające zdrowiu i życiu.

Tak np. ciężkim więzieniem jest Barczewo. Zakład karny leży na półwyspie oblanym wodą. Więźniowie polityczni odbywają karę w pawilonie XIV, izolacyjno-represyjnym. Cele parterowe nie są podpiwniczone, pod podłogą nie ma izolacji cieplnej. Wszędzie, zwłaszcza w izolatkach jest bardzo ciemno, zimno i wilgotno, ściany są zagrzybione. Panuje zduch ze względu na brak kanałów wentylacyjnych i bardzo małą powierzchnię okien. W izolatkach prócz krat są w oknach bardzo gęste siatki. Na pierwszym piętrze tego pawilonu znajduje się oddział szpitalny dla chorych na żółtaczkę zakaźną. Przez długi czas więźniowie polityczni zmuszeni byli korzystać ze wspólnej łaźni z chorymi. Dopiero dramatyczny protest głodowy więźniów politycznych z roku 1984 położył temu kres.

Bardzo trudne warunki lokalowe ma ZK w Łęczycy. Zakład mieści się w XIV-wiecznym klasztorze o grubych murach i wilgotnych, ciemnych celach. Małe okienka są osadzone wysoko, w głębokich wykuszach, przesłonięte dodatkowo blindą i gęstą siatką. W lecie panuje tam zduch nie do wytrzymania, w zimie lodowata temperatura.

Chyba najtrudniejsze warunki higieniczne i ogólno-bytowe są w starych więzieniach o nie skanalizowanych celach. Należą do nich m.in. areszt śledczy w Radomiu, Piotrkowie Trybunalskim i zakład karny dla kobiet w Grudziądzu.

Lepsze pod względem sanitarnym są warunki w nowo wybudowanych budynkach, np. w areszcie śledczym w Częstochowie na terenie KWMO - w tzw. popularnie "trójkacie bermudzki". Niezłe warunki "mieszkańcowskie" mają więźniowie III pawilonu ZK w Hrubieszowie. Budynek jest z późnych lat 60-tych, o stosunkowo dużych oknach, z ubikacją i bieżącą wodą w celach. Także w ZK w Strzelinie cele są jasne i przestronne.

Regulaminowe normy kubatury w aresztach i zakładach karnych wynoszą 10m<sup>3</sup> na osobę. Są one z reguły nieprzestrzegane. Cele są przepełnione, czasem na 1 przycy śpi jednocześnie kilka osób, nie mogąc się nawet obrócić z boku na bok. Czasami więźniowie sypiają na zmianę. Oto przykłady z różnych więzień i okresów czasu: Zabrze, ZK, ul. Janika - cela ok 5x5m. 22 osoby. Więzienie Mokotowskie w Warszawie, Pawilon II: cela 8m<sup>2</sup> - w niej 6-10 osób. Wojewódzki A.S. w Katowicach, ul. Mikołowska: w celi 2-osobowej 4-5 osób. Spanie na tzw. "plaży" lub "sianku", czyli na podłodze. Po kilka osób na jednoosobowej przycy sypia się w A.S. w Płocku, ZK w Dzierżonowie itd.

Warunki bytowe w niektórych zakładach karnych różnią się zasadniczo w zależności od pawilonu, a nawet lokalizacji celi w tym samym pawilonie. Typowym przykładem może być A.S. przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Najlepsze warunki higieniczne ma Pawilon III pod nadzorem MSW. Nie są tu raczej przetrzymywani pospolici kryminaliści, lecz osoby zamieszane w afery gospodarcze itp., a także część więźniów politycznych. Cele są na ogół małe, 4-osobowe, o wymiarach ok. 4,5 x 2,5m/czyli mniej niż 3 m<sup>2</sup> powierzchni na osobę/. Liczba więźniów w celi zwykle nie przekracza planowej, lecz nie jest to regułą. W okresach kiedy wzrasta, a nawet się podwaja - osoby nadliczbowe sypiają na tzw. "sianku" na podłodze.

Każda cela jest wyposażona w umywalkę z bieżącą zimną wodą, oraz splukiwaną ubikacją, która nie ma żadnej przesłony i jest w zasięgu wizeru w drzwiach. Tylko niektóre cele kobiece mają osłonięte kąciki sanitarne. Ciepła woda jest dostarczana mężczyznom w ilości 1 wiadra dziennie, kobietom 2 wiadra dziennie. Ta ilość ma wystarczyć wszystkim w celi do zachowania czystości osobistej, prania, mycia naczyń itd.

Cele są w lecie gorące i duszne, w zimie niedogrzone. Kaloryfery są często niesprawne, a nawet zupełnie nieczynne. W niektórych zakładach karnych jest tak zimno, że woda w nocy zamraża we wiadrze. Jednak oficjalne pomiary temperatury wskazują... co najmniej 18°C.

W Pawilonie III więzienia mokotowskiego okna są małe, w głębokim wykuszu, na ogół nie blindowane. Jeśli mają blindy, w celi brak powietrza i światła, co zmusza do całodziennego sztucznego oświetlenia. Żarówki w zakładach karnych są przeważnie 40-watowe, często osłonięte szczelną metalową siatką. Utrudnia to ogromnie czytanie i powoduje osłabienie wzroku.

Najgorsze warunki w Pawilonie III mają cele położone od strony kuchni i kotłowni. Niezależnie od odorów gotowanego, nadpsutego jedzenia i zwiększonej ilości robactwa - niezwykle dokuczliwy jest hałas pracujących agregatów, wyciągów itp. Wywołuje to rozdrażnienie, bezsenność, bóle głowy i wzmogoną agresywność. U jednego z więźniów po około 4 miesiącach pobytu w takiej celi stwierdzono uszkodzenie nerwu słuchowego.

Warunki sanitarne w pawilonie II więzienia mokotowskiego zajęтым w prze-ważającej części przez kryminalistów są znacznie gorsze niż w pawilonie III. Cele są bardziej zatłoczone, brudne, wilgotne, na ścianach widoczny jest grzyb i zielona pleśń. W niektórych celach woda cieknie po ścianach. W zimie jest bardzo zimno. Okna są z reguły zablindowane.

W pawilonie tym, podobnie jak w innych więzieniach PRL, więźniowie poli-tyczni są przetrzymywani wspólnie z kryminalistami. Współżycie między nimi układa się na ogół bezkonfliktowo, lecz zdarzają się przypadki fizycznego i psychicznego maltretowania "politycznych" przez kryminalistów, często z za-chętą, lub wręcz z inspiracji służb więziennych. Co więcej, próby zachowania jako-takiej czystości celą wymagające zgodnego współdziałania wszystkich mieszkańców są bardzo trudne.

Najgorsze warunki sanitarne z całego kompleksu mokotowskiego panują na oddziale izolacyjnym. Cele nie są tam skanalizowane. Do załatwiania potrzeb fizjologicznych służy kubek "bomba", opróżniany raz dziennie w ogólnej ubi-kacji.

W dość licznych w PRL aresztach nieskanalizowanych urządzenia sanitarne znajdują się w oddzielnych pomieszczeniach i więźniowie mają czas ściśle wy-znaczony i ograniczony na mycie się i załatwianie potrzeb fizjologicznych. W godzinach pozaplanowych korzystają z kubków, często zużytych, źle, lub nie-regularnie dezynfekowanych, czasem nieszczelnych. W większości aresztów op-różnia się je 2 razy dziennie. Mycie się w celach bez bieżącej wody jest trud-ne, a czasem ryzykowne. Ilość wody jest ograniczona. Jedna miska musi służyć większej ilości osób. Śródków czystościowych i dezynfekcyjnych z reguły brak. Oto przykład: w Olszynie Grochowskiej w celach przeznaczonych dla 12-14 osób przebywa około 20 kobiet. Otrzymują 2-3 wiadra zimnej wody na dzień. W celi jest tylko 1 miednica. Niektóre więźniarki cierpią na choroby weneryczne, wszawicę łonową i inne zakaźne choroby. Dlatego kobiety pragnące uniknąć in-fekcji są zmuszone myć się wodą z kubka - nad sedesem.

W więzieniu dla kobiet w Grudziądzu w celach nie ma również bieżącej wo-dy. Przynosi się ją w ilości 2 wiader dziennie z kranu na korytarzu. Ponie-waż z jakichś przyczyn występują nieustanne awarie, kobiety muszą się często obywać w ogóle bez wody. W celach nie ma ubikacji, tylko kible.

Przepisy regulujące sposób odbywania kary zapewniają skazanemu prawo do korzystania z ciepłej wody 1 x w tygodniu. Ten punkt regulaminu jest na ogół respektowany.

Łazienki więzienne składają się z rozbieralni i sali natrysków. Podłoga po-kryte drewnianą szczebelkową wykładziną jest rozsądnikiem grzybicy stóp. Łaż-nie są często nieogrzewane, o nieszczelnych oknach, bardzo zimne w chłodnych porach roku. Ilość ciepłej wody bywa ograniczona i niektórzy kąpiący się mu-szą kończyć mycie w zimnej wodzie.

Łazienki i inne pomieszczenia sanitarne są na ogół brudne i niedostatecz-nie lub wcale nie dezynfekowane. Natomiast czas kąpieli jest w większości więźniów wystarczający.

Materace i koce przydzielane aresztowanym są brudne, prawdopodobnie nig-dy nie trzepane i nie wietrzone, czasem zanieczyszczone krwią i kałem. Podu-szki są wypchane śmierdzącą gąbką. Wymiana bielizny osobistej, ręczników i ścierek odbywa się w większości zakładów karnych zgodnie z regulaminem 1 x w tygodniu, a pościeli 1 x na 2 tygodnie. Pościel jest szara i nieświeża, źle wypłukana z silnie drażniących środków do prania, co u wielu osób powo-duje wystąpienie swędzących wyrypek alergicznych i podrażnienia skóry. Brud-

ne i niedoprane są ręczniki i bielizna.

Bруд i robactwo są zmorą PRL-owskich więzień. Prusaki, pchły, pluskwy, wszy, świerzby są nieodłączną częścią więziennego pejzażu. Niezabezpieczone śmiećniki z resztkami jedzenia gnijącymi pod oknami cel dostarczają coraz to nowych generacji karalichów i szczurów. W A.S. w Swidnicy szczury wchodzą do cel przez otwory kanalizacyjne. Przeprowadzane sporadycznie dezynsekcje i deratyzacje dają krótkotrwały efekt, lub są zupełnie bezskuteczne.

Więźniowie odczuwają stały niedostatek środków czystościowych i higieny osobistej. Są one przydzielane w różnych ilościach i różnie często. Przeważnie raz w tygodniu wydaje się kawałek szarego mydła, proszek do mycia sanitariatów i pastę do podłogi, przy pomocy których należy utrzymać celę w czystości. Rzadko można otrzymać trochę proszku do prania.

Mężczyźni mają przydzielany krem do golenia, a kobiety paczkę ligniny raz w miesiącu i przeważnie nie mogą się doprosić o więcej. Chyba tylko w A.S. w Nisku wata i lignina jest wydawana stosownie do potrzeb. Czasem pastę do zębów, mydło i niektóre środki czystościowe można dostać na wypiskę<sup>x/</sup>. Ratunkiem są paczki sanitarno-higieniczne od rodzin, na które nie zawsze można uzyskać zezwolenie.

Na widzeniach nie wolno otrzymywać żadnych środków czystościowych - ani zresztą nic innego. Znalezione przedmioty są rekwirowane, a więzień karany.

W celi wolno mieć własną szczoteczkę do zębów, krem do golenia i po goleniu, pędzel i papier toaletowy. W większości zakładów karnych i aresztów nie wolno posiadać maszynek do golenia ani nożyczek. Aresztantów goli więzień funkcyjny zwykle 2 x w tygodniu, często nieodkaszoną brzytwą. Strzyżenie odbywa się na życzenie zainteresowanego, lub - w innych obowiązkowe raz w miesiącu.

Każdy więzień ma w celi przydzielony kubek, talerz i łyżkę, przeważnie aluminiowe. Są one stare, zużyte, o nierównej, porowatej powierzchni, trudne do umycia zimną wodą.

Brak gorącej wody jest bardzo dokuczliwy. Jej dzienna racja jest niewystarczająca, a temperatura nie dość wysoka. Więźniowie ratują się sporządzając własnym przemysłem grzałki, tzw. "buząły". Jako źródło prądu służy gniazdko żarówki, połączone kawałkiem drutu z metalowym łóżkiem i uziemione przez kaloryfer. Buząły są bardzo niebezpieczne, zdarzają się przypadki porażenia prądem, lecz to niewielu odstrasza.

Zgodnie z regulaminem aresztowani mają prawo do codziennego 60-min. spaceru na świeżym powietrzu. Regulamin przewiduje możliwość skrócenia go do 30 min, jeśli warunki zakładu uniemożliwiają dłuższy. W praktyce godzinne spacery należą do wyjątków. Zazwyczaj są skracane do 30, a nawet 15 min. W niektórych aresztach całymi tygodniami w ogóle nie ma spacerów, w jeszcze innych więźniowie wychodzą tylko kilka razy w tygodniu. Prawo do spacerów może być odebrane, jako forma kary dyscyplinarnej. Na zlecenie lekarza możliwe jest zezwolenie na wydłużenie czasu spaceru.

Spacer odbywają się na wybetonowanych prostokątach oddzielonych od świata wysokim murem. Są one przeważnie małe /spacerniak pawilonu III na Rakowiek<sup>ie</sup> ma wymiary ok. 12 x 4 m/, pozbawione słońca i zieleni. Zupełnie wyjątkowo, w pojedynczych zakładach karnych czas przebywania na wolnym powietrzu wydłuża się decyzją naczelnika, a nawet umożliwia się skazanym grę w siatkówkę.

Wszyscy aresztowani odczuwają ogromny niedostatek ruchu i powietrza. Celi są duszne i tłoczne, można w nich właściwie tylko siedzieć na twardych stołkach bez oparcia. W ciągu dnia nie wolno się położyć. Zgodę na leżenie /prze- określona ilość godzin dziennie/ wydaje lekarz więzienny, a czyni to nad wyraz niechętnie.

Wyżywienie w więzieniach jest na ogół ilościowo i kalorycznie wystarczające, lecz bardzo ubogie w wartościowe składniki - białko i witaminy. Pod względem smakowym posiłki często są obrzydliwe, nieco lepsze i bardziej uroz-

x/ Wypiska - zakup towarów w kantine więziennej 2 x w miesiącu za pieniądze z depozytu, w ściśle ograniczonej wysokości.

maicone w zakładach karnych niż aresztach śledczych. Dienne stawki żywniowe wynoszą wg norm obowiązujących w styczniu 1985r. 65 zł dla niepracujących i 76 zł dla pracujących, a pod względem kalorycznym odpowiednio 2640 i 3400 kalorii.

"Menu" w rozmaitych miejscach i czasie trochę się różni. Raz jest więcej ziemniaków, to znów klusek, zamiast kawy zbożowej bywa zupa mleczna, a olej zastępuje margaryną, albo na odwrót.

W więzieniu mokotowskim w Warszawie, na przełomie wiosny i lata 85. wyżywienie wyglądało następująco: na śniadanie biała gorzka kawa i 1/2 bochenka chleba /na cały dzień/ 1/16 kostki margaryny, trochę dżemu, lub kawałek sera topionego. Obiad 2-deniowy z dużą ilością oleju, który dodawano nawet do zup, zapewne dla podniesienia ich kaloryczności. Zupy były przyprawione bardzo ostro, celem zagłuszenia ich mdlącego smaku. Na drugie danie kartofle, pęczak lub kluski z rodzajem sosu mięsnego. Czasem gotowana kapusta. Rzadko mielony kotlet z minimalną ilością mięsa. Raz w tygodniu zamiast obiadu tzw. litraż, tj. gęsta zupa. Na kolację czarna słodzona kawa, chleb ze śniadania i odrobina margaryny. Raz w tygodniu dodatek w postaci małego kawałka mortadeli, kaszanki, salcesonu lub pasztetowej.

Dieta zapisuje lekarz więzienny, zresztą równie opornie jak zgodę na leczenie, lub wydłużone spacery. Nie ma ona nic wspólnego z dietą w sensie medycznym, tj. dostosowaną do rodzaju schorzenia. Jest po prostu wyżywieniem o wyższej wartości kalorycznej i białkowej. I tak na Rakowieckiej dostaje się na dietę masło zamiast margaryny, podgrzane mleko, częściej kawałek mięsa, czasem jajko lub dwa, ser, trochę lepsze jakościowo wędliny. W sezonie - bardzo rzadko - do kolacji pomidor lub trochę sałaty.

Więźni na Rakowieckiej w 1983r. twierdzili, że wyżywienie poprawiło się po czerwcowej wizycie Ojca Świętego, natomiast uległo wyraźnemu pogorszeniu od września 1985r.

Posiłki więzienne często przygotowuje się z nieświeżych, lub wręcz zepsutych produktów, śmierdzącego mięsa, nadgniłych warzyw. Znajduje się w nich robaki i inne mało apetyczne dodatki. Jarzyny są źle oczyszczone, niedogotowane, ziemniaki poczerńiałe i zgniłe, smak posiłków ohydny. Masowe zatrucia pokarmowe są na porządku dziennym. Do wyjątków należą więzienia, gdzie mimo śmiesznie niskich stawek żywniowych i fatalnego zaopatrzenia wikt jest dość dobry i urozmaicony /np. A.S. w Nisku/. Swego czasu dobre obiady dawano w A.S. KIMMO w Rzeszowie. Przynoszono je w termosach z pobliskiej kantyny dla pracowników milicji.

Można podejrzewać, że w niektórych zakładach karnych do kawy lub zupy dodaje się środki uspokajające /brom?/. Skazani uważają, że powodują one ośpienie, mają nietypowy wygląd i dziwny smak. U wielu osób w czasie pobytu w więzieniu występowały wysypki, ustępujące szybko po wyjściu z Z.K., których charakter przemawia za rozpoznaniem acne bromata.

Niektóre artykuły żywnościowe można nabywać 2 x w miesiącu na wypiskę. Niestety kantyny więzienne są zaopatrzone dużo gorzej od sklepów "wolnościowych", a zwłaszcza brak w nich świeżych jarzyn i owoców.

Ratunkiem są paczki od rodzin. W śledztwie aresztowany ma prawo do 3-kilogramowej paczki żywnościowej 1 raz w miesiącu. Po wyroku regulaminowych paczek się nie otrzymuje, lecz naczelnik zakładu karnego może na nie zezwolić w formie nagrody /maksymalnie 6 w ciągu roku/. Może również, na wniosek lekarza więziennego, wyrazić zgodę na dodatkowy zakup artykułów żywnościowych na wypiskę ze względu na stan zdrowia skazanego. Ponadto lekarz więzienny może wystąpić do naczelnika z wnioskiem na dodatkowe paczki żywnościowe, witaminowo-owocowe, lub sanitarno-higieniczne ze względu na stan zdrowia. Dotyczy to zarówno skazanych, jak aresztowanych w śledztwie. O zgodę na paczkę, może wystąpić sam więzień do swojego wychowawcy lub lekarza więziennego. Lekarze więzienni często odrzucają takie prośby mówiąc, że tzw. paczki warzywno-owocowe są niepotrzebne, gdyż troska o witaminy jest przesadą /A.S. przy ul. Rakowieckiej/. Kuriozalnym przykładem tego stanowiska jest zwracanie więźniom wychodzącym na wolność z więzienia na Rakowieckiej witamin przesłanych im przez rodziny za zgodą władz więziennych.

Artykuły żywnościowe należące do więźniów są uszkodzane i niszczone w czasie rutynowych i represyjnych kłuszek /rewizji/ w celi. Wraz z osobistymi rzeczami aresztowanych, ręcznikami, ścierkami, bielizną pościelową itd są rozsypywane po podłodze, przemieszane, zabrudzone, deptane butami.

Szpitala więzienne cechuje brud i zaniedbanie właściwe dla całej służby zdrowia, spotęgowane jeszcze przez specyfikę zakładów karnych. Cele szpitalne są oczywiście zamknięte, szlafrok wystawia się na noc na korytarz w rutynową więzienną kostkę. Duża liczba chorych przy ograniczonej ilości łóżek powoduje konieczność dostawek, podobnie jak w szpitalach wolnościowych. Jednak dostawka oznacza tu zwykle materac na gołej podłodze, czyli tzw. "sianko". Jedzenie w szpitalu jest jeszcze gorsze niż w całym więzieniu.

W stosunkowo dobrej sytuacji są oddziały szpitalne z doprowadzoną do cel bieżącą wodą - zwłaszcza ciepłą, np. szpital przy ul. Rakowieckiej w W-wie. Inne są w warunkach złych, lub wręcz katastroficznych. Za przykład tej sytuacji może posłużyć szpital więzienny dla kobiet w Grudziądzu: - przywozi się do niego więźniarki z całego kraju. Szpital ten leży w bezpośrednim sąsiedztwie kotłowni i do sal chorych przedostaje się dym zmieszany z pyłem węglowym. W pyle odbywają się regulaminowe spacery pacjentek chodzących. W szpitalu jest jedna sala operacyjna służąca zarówno dla potrzeb oddziału chirurgicznego jak ginekologii. Wykonuje się tam wszystkie zabiegi - czyste i brudne: usuwa wyrostki, pęcherzyki żółciowe, ciała obce z przewodu pokarmowego, zopatruje ropne i zgorzelionne rany, łyżeczkuje kości itd. Instrumentariuszką w razie potrzeby jest pielęgniarka zatrudniona jednocześnie na oddziale. Nie ma wydzielonego pomieszczenia do przygotowywania leków do podawania pozajelitowego. Robi się je w dyżurce pielęgniarek.

Funkcjonariusze więzienni w mundurach, bez fartuchów poruszają się bez przeszkód po całym szpitalu, wchodzą nawet do sal pooperacyjnych.

Szpital mieści się w starym, częściowo skanalizowanym budynku. W celach chorych znajdują się ubikacje. Jednakże wodę można czerpać z kranów tylko po posiłkach przez około pół godziny i to w ograniczonej ilości. Jedno wiadro, lub wiadro i miska wody muszą służyć 5 kobietom w celi do mycia, prania, zmywanie naczyń i splukiwania ekskrementów. Brak środków czystościowych. Chore otrzymują jedynie szare mydło, pastę do podłogi i ligainę.

W grudziądzkim szpitalu jest również porodówka. Oddział jest nieskanalizowany. Oczekujące rozwiązania kobiety w ostatnich tygodniach ciąży są zmuszone wynosić kible pojemności 3 wiader do ścieku odległego o kilkadziesiąt metrów - często po schodach.

Oto obraz szpitala lat 80-tych XX wieku.

Nie wiemy, o ile prawdziwe warunki sanitarno-higieniczne w więzieniach PRL są znane San-Epidowi MSW i czy ma na nie jakiś wpływ. Natomiast naczelnik zakładu karnego może dużo zrobić dla poprawy warunków bytowych i zdrowotnych swoich podobiecznych - jeśli chce. Poza sprawami dotyczącymi porządku i czystości, od niego zależy zgoda na dodatkowe paczki, określenie czasu spaceru, zezwolenie na otrzymanie środków czystościowych i żywności w czasie wiedzien... I odwrotnie, może karnie pozbawić aresztowanych nawet tych nielicznych praw, które im regulaminowo przysługują - wstrzymać widzenia, pozbawić spacerów, zawiesić prawo zakupów na wypiskę. Może jeszcze zastosować kary bardziej drakońskie, np. twarde łóża i tzw. "szczególne środki bezpieczeństwa i siły fizycznej" - od szczególnego środka bezpieczeństwa w postaci pałki gumowej poczynając, po strumienie zimnej wody, petardy i gazy obездwładniającej. Niemal wszystkie wymienione były już stosowane wobec więźniów sumienia.

Do kar regulaminowych należy również umieszczenie skazanych w celach zabezpieczających dźwiękochłonnych. Znamy je z Berczewa. Cele te - tzw. "termos" i "tygrysówka" są niemal całkowicie pozbawione dostępu powietrza. Tygrysówka oprócz drzwi posiada dodatkową furtkę z kraty, z otworem służącym do podawania jedzenia usytuowanym nisko nad ziemią, w sąsiedztwie muszli klozetowej. Więzień sięga po pożywienie w pozycji klęczącej, z głową niemal w klozecie.

Regulamin przewiduje, że decyzję o zatrzymaniu skazanego w celi zabezpieczającej przez okres ponad 24 godz. podejmuje naczelnik po zasięgnięciu opinii lekarza więziennego. Nie precyzuje jednak, czy do tej opinii ma się zastosować. Ma to zresztą znaczenie tylko formalne. Nie słyszeliśmy dotąd o wy-

padku, w którym lekarz odmówiłby zgody na twarde łóżce ze względu na stan zdrowia więźnia. O lekarzach więziennych, czy raczej funkcjonariuszach medycyny więziennej powiedział bowiem pewien naczelnik: to jest NASZA służba zdrowie i NAM podlega.

Jako epilog niech służy cytata:

"Kary wykonuje się w sposób humanitarny, z poszanowaniem godności ludzkiej skazanego". /Kkw art 7 paragraf 3/.

---

Barbara Jurkowska

### NARKOMANIA - CHOROBA SPOŁECZNA

Kiedy to się zaczęło? Dziesięć, piętnaście lat temu? Nikt nie potrafi podać dokładnej daty. Wiadomo jednak, że narkomania przyszła do Polski wraz z ruchem hippisów. Kontestując dzieci-kwiaty odrzucały wojnę oraz przemoc i odurzały czym się dało, aby odciąć się od ponurej rzeczywistości.

U nas fascynacja ruchem hippisów przybrała formy karykaturalne. Niewiele pozostało z tamtejszej - pacyfistycznej i naiwnej ideologii. Przejęto natomiast zewnętrzne formy zachowań stylu bycia. A więc: długie włosy, kolorowe stroje i narkotyki. Z braku tych prawdziwych - sięgano po rozmaite namiastki. W kręgach polskich hippisów w modzie były zwłaszcza lekarstwa uspokajające i pobudzające, wachanie "Tri" oraz innych podobnych specyfików.

Zdarzały się włamania do aptek i magazynów. Wielu hippisów wyłudzało narkotyki, fałszując lub krańcąc recepty. Aby zapobiec tym praktykom środki odurzające znalazły się pod specjalnym nadzorem. Przede wszystkim wprowadzono wyróżniające się blankiety na recepty. Magazyny aptek zostały lepiej zabezpieczone przed próbami kradzieży /wprowadzono specjalne systemy alarmowe/, a podawanie narkotyków w szpitalach zaczęło się odbywać pod uważną kontrolą. "Tri" zostało wycofane ze sprzedaży. Do tego jeszcze śmiercią naturalną zginął sam ruch, a wraz z nim ideologia i obyczajowość hippisów.

Niemal z dnia na dzień liczba narkomanów malała. Wydawało się, że walkę z nałogiem została prawie wygrana. Nawet resort spraw wewnętrznych zdecydował, że narkomania była przejściowym kaprysem małolátów i uznał, że powoływanie specjalnej komórki do zwalczania narkomanii zbędnie obciąża pracowników. Problem narkomanii znalazł się na marginesie zjawisk patologii społecznej w Polsce.

Ten stan pozornego uspokojenia trwał zaledwie kilkanaście miesięcy, w czasie których narkomani cierpliwie pracowali w swoich domowych laboratoriach chemicznych. W 1974 roku jeden z nich, niezwykle uzdolniony student chemii z Gdańska, wraz z grupą siedmiu pomocników - odkryli metodę przygotowania polskiej heroiny, tzw. kompotu.

Był to jeszcze wówczas preparat mocno zanieczyszczony, a i sam proces technologiczny trwał długo - kilkanaście godzin. Po latach został on, oczywiście, znacznie ulepszony i zmodernizowany. Substancja jest lepiej oczyszczona, a i przygotowanie kompotu trwa trzy razy krócej. Opracowanie technologii produkcji kompotu stało się punktem zwrotnym w historii polskiej narkomanii. Teraz główny wynalazca, od kilku lat wyleczony z nałogu, posypuje głowę popiołem i udziela prasie dramatycznych wywiadów.

O tym, co działo się w sprawie polskiej narkomanii do roku 1980, wiemy niewiele, gdyż w środkach masowego przekazu była ona tematem tabu. Obowiązywał u nas bezwzględny zapis cenzorski na wszelkie publikacje o rodzimych narkomanach. Rodzice, nauczyciele, lekarze - z braku informacji - łatwo przepięli pierwsze ofiary uzależnienia.

Epidemia rozszerzała się szybko i bezgłośnie. Znaczna część dzisiejszych narkomanów zaczynała ópać w latach siedemdziesiątych. Kiedy wreszcie, po Sierpniu, ujawnione zostały fakty na temat polskich narkomanów - społeczeństwo przyjęło je ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Pierwsze publikowane liczby wywołały prawdziwy wstrząs. Narkomania była już jednak mocno ugruntowana: istniała rozwinięta sieć dostawców, producentów, a przede wszystkim - były już pierwsze ofiary.



Od czasu gdańskiego wynalazku podstawowym surowcem, z którym pracują polscy narkomani, jest mak, a raczej słońka i mleczko makowe. Naszą krajową specyfikę stanowi dziś fakt, że prawie każdy biorący jest jednocześnie producentem narkotyków. Obecnie, centymetr sześcienny kompotu kosztuje 200 zł. Niektórzy, ci najbardziej uzależnieni, dochodzą do dawki 30 cm sześciennych kompotu dziennie. Nie stać ich więc na kupno - kupują w zasadzie tylko początkujący.

Inni muszą być samowystarczalni. Stoją więc godzinami nad gazem i mieszając wywar w wielkich garach - czekającą "kopa". Zdarza się, że alarmująco wysokie rachunki za gaz są dla milicji sygnałem, że w takim mieszkaniu może znajdować się melina, że produkuje się w nim kompot. W 1980 roku MO wykryła 412 takich punktów. W 1983 - 836 punktów. Dużo to czy mało!? Statystyki podają, że wykrywany jest co dziesiąty punkt produkcji polskiej heroiny.

Kompot - prosty w przyrządzeniu, nie wymagający użycia skomplikowanej aparatury - zawiera czasem i 70% heroiny. Heroiny, która według obliczeń naukowców uzależnia trzysta razy bardziej niż alkohol. Niekiedy, z braku czasu, narkoman zadawała się tylko uwarzeniem zupy z makowin - makiwary. Taka zupa to jest zwykle za mało, więc dopycha się ją prochami. Całą garścią.

Latem, kiedy mak już dojrzewa, ale jeszcze zielony rośnie na polach, przychodzi czas na mleczko makowe, które po odpowiednim nacięciu niedojrzałej makówki łatwo z niej wypływa. Czasem niedoświadczony narkoman lub narkoman na głodzie - wstrzyknie sobie takie mleczko wprost z makówki. Ponieważ jest to substancja zanieczyszczona, powoduje zator w organizmie i zderza się, że narkoman ginie.

Jednak ci bardziej doświadczeni przerabiają mleczko makowe na brunatny proszek. Jest to trwały preparat, który może być dość długo przechowywany i przydać się na narkomańskim przednówku - wiosną. Ten proszek dodawany jest też często przez handlarzy do czystej heroiny. Zdarzały się przypadki wywozu tego preparatu do krajów zachodnich, gdzie był sprzedawany przez Polaków po konkurencyjnych cenach. Reakcje tamtejszych handlarzy były gwałtowne - doszło do kilku poważnych pobić, a nawet zabójstw.

Polska jest jedynym obok Turcji, krajem w Europie, gdzie na polach rośnie swobodnie mak. Niestety, nawet ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii /uchwalona w ponad dziesięć lat od uruchomienia produkcji polskiej heroiny/ nie przyniosła oczekiwanych ograniczeń w uprawie maku i konopii. Od początku mówi się o tym, że rozwiązania zawarte w ustawie są połowiczne.

Już zresztą w Sejmie, podczas dyskusji nad projektem ustawy, budziły one żywe kontrowersje. Część posłów zdecydowanie zażądała zmonopolizowania upraw maku na wzór np. państwowego monopolu tytoniowego.

Jednak od początku było wiadomo, że ich starania zakończą się niepowodzeniem. Żadne, nawet najbardziej dramatyczne prognozy rozwoju narkomanii nie zdołały przekonać większości, w znacznej mierze zwolenników makowca.

Brzmi to zabawnie i absurdalnie, ale argument o "pozbawieniu narodu tradycyjnego ciasta świątecznego" padał najczęściej. Jakże to - pytano - czy dlatego, że ktoś się narkotyzuje, ja mam zrezygnować ze swojego ulubionego ciasta? Wydawało się niemal, że wprowadzenie zasady zmonopolizowania upraw maku zagrozi konsumpcyjnej wolności Polaków.

Cała ta słodko-bełkotliwa argumentacja dowodzi tylko, jak rzadko ludzie zadają sobie trud zaszukania się nad istotą sprawy i jak niezmiernie łatwo sprowadzić emocje społeczne do talerza. Tymczasem nikt przecież nie postulował wprowadzenia zakazu upraw maku. Chodziło o ich zmonopolizowanie, a co za tym idzie o ograniczenie upraw do zaspokojenia niezbędnych potrzeb.

Najzagorzalszym przeciwnikiem takiej regulacji ustawowej było "lobby" ministerstwa rolnictwa. Jego przedstawiciele byli zdania, że mak to uprawa, którą od wieków zajmują się polscy rolnicy, że jej całkowity zakaz na działkach przyzgodowych byłby posunięciem zbyt radykalnym. Dopiero z rozmów kulturalnych wyniknęło, że Polskę, niezależnie od tego, jaką cenę za to zapłaci jej społeczeństwo, nie może zrezygnować nagle z uprawy maku. A to dlatego, że jest specjalistą w tej dziedzinie w systemie RWPG.

Choć, szczerze mówiąc, i ten ostatni argument nie wydaje mi się do końca przekonujący. Maku jest bowiem w Polsce tyle, że moglibyśmy nim spokojnie

zasypać nie tylko kraje RWPG, ale także i EWG. W roku ubiegłym, kiedy uchwalono ustawę, zapas maku obliczany był, jeszcze przed zbiorami, przynajmniej na trzy lata. Nie umiem więc powiedzieć, dlaczego i kto tak uparcie optuje za koniecznością utrzymania stanu upraw maku w Polsce. Dla wszystkich, którzy kiedykolwiek zetknęli się z problemem narkomanii, jest to sprawa niezrozumiała.

Jak jednak obecnie wygląda regulacja prawna dotycząca upraw maku i konopii w Polsce, zawarta w ustawie?

Przepisy przewidują obowiązkową rejestrację i kontraktację maku właścicieli działek powyżej 20 metrów kwadratowych. I tu ustawa, trzeba przyznać, idzie o krok dalej od wcześniej obowiązującego w sprawie maku rozporządzenia i zmniejsza obszar jego upraw podlegający kontraktacji z 50 m kw. do 20. Z dwudziestometrowej działki można zebrać dwa worki słomy makowej - z tego dla narkomana jest ćpania na cały miesiąc. Mamy w kraju parę milionów gospodarstw chłopskich, a przy nich działek z makiem. Do ilu w sumie hektarów rozrosną się nam te makowe plantacje?

Są też problemy z obowiązkową kontraktacją upraw. W 1984 roku mak uprawiano na 20 tys. ha, zakontraktowano 13 tys. ha, wobec tego 7 tys. ha pozostało poza kontrolą. W ubiegłym roku, już pod rządami ustawy, było podobnie. W wielu gminach, jak wykazały kontrole, urzędnicy nie podjęli nawet trudu zarejestrowania, ile też upraw maku mają na swoim terenie. Również dla rolników problem narkomanii jest tak daleki i egzotyczny, że liczenie na ich świadomość społeczną w tej dziedzinie jest po prostu naiwne.

Wreszcie trzecia sprawa - słomy makowej. Zgodnie z przepisami ustawy, państwo zobowiązuje się do zniszczenia wszystkich niezagospodarowanych jej zapasów. W 1984 roku państwo wykupiło od rolników 6,5 tys. ton słomy makowej. "Polfa" dla potrzeb farmacji wzięła 1,5 tys. ton, 3,5 tys. ton sprzedaliśmy zagranicę, a ponad 1 tys. ton spalono. Akcja wykupu kosztowała ok. 100 mln złotych. W tym roku na ten cel trzeba będzie przeznaczyć 330 mln złotych. Ile ton słomy zniknie z tych stosów, które mają zostać spalone? Ile zostanie ukradzionych w magazynach i po drodze do nich?

Czy nie lepiej więc od razu, z góry, ograniczyć areal upraw maku tylko do niezbędnych potrzeb i pod ścisłą kontrolą - zamiast wydawać miliony złotych na skup, a potem niszczenie słomy makowej? Jest to przecież rozwiązanie nie tylko kosztowne, lecz przede wszystkim mało skuteczne.

Ilu narkomanów jest w Polsce? Tak naprawdę nikt nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Mimo, że o tym zjawisku mówimy już od lat kilku - brak do tej pory kompleksowych badań epidemiologicznych. Z danych Instytutu Psychoneurologicznego w Warszawie, wynika, że do różnych placówek w kraju zgłosiło się 7 tys. osób uzależnionych.

Przyjmując, że na leczenie zgłasza się co piąty narkoman, można założyć, że żyje obecnie w Polsce ok. 35 tys. osób wymagających leczenia. Liczbę zagrożonych, a więc mających bezpośredni kontakt z narkotykiem, jest ok. 300 tys. Ewa Andrzejewska, przewodnicząca Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii podaje, że jest ich aż 600 tys. Szczególnie zagrożone narkomania są województwa: legnickie, warszawskie, gdańskie, jeleniogórskie, szczecińskie.

Najbardziej przerażającym symptomem zjawiska narkomanii w Polsce jest obniżenie się wieku osób sięgających po narkotyk po raz pierwszy. Kompot zaczyna być zwykle modny wśród młodzieży między 14 a 16 rokiem życia. Wcześniej, w szkołach podstawowych, dzieci wachają trujące substancje lotne /np. kleje, lakiery, gaśnice/.

Tak zwani "wachacze" noszą w kieszeniach, jak najbliżej ciała, aby uzyskać odpowiednią temperaturę, torebki foliowe z preparatem. I urządzą sobie zbiorowe lub indywidualne seanse "wziewne", które niejednokrotnie kończą się zapaścią. Zresztą, dłuższe uleganie tej modzie nie tylko grozi uzależnieniem ale powoduje u dzieci nieodwracalne uszkodzenia tkanki mózgowej.

W 1984 roku odkryto w szkołach 5 tys. przypadków odurzenia się przez uczniów. Ocenia się, że tylko co dziesiąty taki fakt jest ujawniany. Najwyższy wskaźnik odurzających się na 10 tys. uczniów występuje w szkołach zawodowych i wynosi 7,8. W niektórych województwach jest on jednak znacznie wyższy od średniej krajowej i tak np. dla województwa łódzkiego i ostrołęckiego wynosi powyżej 40, a w elbląskim, wrocławskim i lubelskim powyżej 20. Największy,

bo ponad ośmiokrotny wzrost liczby odurzających się w stosunku do roku 1980, stwierdza się w szkołach ogólnokształcących.

Jacy uczniowie najczęściej ulegają narkomanii? Zgodnie z wizerunkiem ułożonym przez pedagogów, są to osoby mało odporne, niedojrzałe emocjonalnie, wrażliwe, o niskiej tolerancji na stresy, często już wcześniej wykazujące trudności w socjalizacji. Większość z nich pochodzi z rodzin, które nie gwarantują dzieciom harmonijnego rozwoju psychicznego i społecznego.

Jest to jednak obraz, z którym nie do końca zgadzają się psychologowie pracujący z narkomanami. Niezmiernie często bowiem pierwszym krokiem w kierunku uzależnienia jest po prostu zwyczajna ciekawość /30%/, chęć przeżycia czegoś niezwykłego, pragnienie przystąpienia do grupy lub uleganie modzie. I dlatego tak ogromnie trudno jest wykryć i podać prawdziwe przyczyny narkomanii. Dotyka ona bowiem dzieci ze wszystkich środowisk, z rodzin skłóconych i zgodnych, biednych i zamożnych. W Polsce obecnie w znacznie większym stopniu z rodzin robotniczych niż inteligenckich.

Brak szczegółowych badań nie pozwala na wiarygodną odpowiedź, w jakim stopniu zastraszające postępy narkomanii mają związek z panującą w kraju "sytuacją kryzysową", czy też ogólnym klimatem i warunkami życia w Polsce lat 80-tych. Badania prowadzone w innych krajach wskazują jednak na wiele zjawisk psychospołecznych sprzyjających rozszerzeniu narkomanii.

Wymienia się m.in. erozję autorytetów, atomizację życia społecznego, brak perspektyw jednostkowych i grupowych, naruszenie więzi międzypokoleniowej, odrzucenie wzorców dorosłości i kariery, brak atrakcyjnych możliwości spędzenia wolnego czasu itp. Jeśli do tego dochodzi łatwość w zdobyciu narkotyków, niebezpieczeństwo ogromnie wzrasta. Narkomania, nie tylko ze względu na zasięg, lecz również przyczyny - jest chorobą społeczną.

Jaka jest polska narkomania? Przede wszystkim dotyczy ona osób młodych od 16 do 30 roku życia. Dwukrotnie częściej mężczyźni niż kobiety. Mimo osiągnięcia wieku produkcyjnego, prawie 70% narkomanów nie pracuje ani się nie uczy. Zwykle są to osoby samotne, często już rozwiedzione.

Wydłuża się okres przyjmowania środków odurzających. W roku 1981 wynosił on/przed pierwszym podjęciem leczenia/ - u 49% osób - dwa lata i dłużej. W roku 1984 aż 87% osób zgłaszających się leczyć przyjmowało środki odurzające ponad 2 lata. Coraz więcej notuje się też wśród narkomanów zgonów z powodu przedawkowania. W 1984 roku było ich 115.

Największym dobrodziejstwem ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii jest ustanowienie przepisu o dobrowolności leczenia. Mimo nacisku wielu osób, a najczęściej rodziców samych narkomanów oraz zwolenników tak zwanej "twardej ręki" - zwyciężył zdrowy rozsądek. Jak bowiem wykazały eksperymenty, leczenie przymusowe znacznie zmniejsza efekty terapeutyczne.

Człowiek może się wyzwolić z nałogu jedynie wtedy, kiedy sam chce, kiedy widzi cel przed sobą i do niego dąży. Inaczej staje się źródłem demoralizacji dla innych naprawdę chcących się leczyć. Zresztą, sam fakt przymusu nie zmieniłby niczego - mógłby najwyżej spowodować, że narkomania zejdzie do podziemia, że w ogóle stracilibyśmy kontrolę nad tym zjawiskiem.

Jakie skutki zdrowotne wywołuje nadużywanie narkotyków? Można je podzielić na trzy zasadnicze grupy: psychiczne, fizyczne i społeczne. Są one tak wyraźne, że zauważają je sami narkomani i 82% z nich przyznaje się do zmian w swoim charakterze, a 75% do zmian w stanie fizycznym.

Jeśli chodzi o konsekwencje psychiczne, należą do nich: zaburzenia pamięci, omamy, halucynacje, nerwowość, drażliwość, lęki, depresje, apatia i wreszcie zanik uczuć wyższych. Jak wynika z przeprowadzonych badań, większość narkomanów /75%/ uważa samobójstwo za jedyne wyjście ze swojej sytuacji i akceptuje je. Wielu narkomanów /63%/ kwestionuje istnienie jakiegokolwiek sensu w życiu, ma poczucie pustki i jest zagubionych w świecie.

Na czym polega leczenie narkomanii? Najprostszy sposób to zastąpienie uzależnienia od narkotyków uzależnieniem od jakiegoś przewodnika - "guru", kogoś, w kogo można wierzyć bez zastrzeżeń, szukać jego akceptacji i słuchać jego rozkazów. Taką mniej więcej metodę obrał dla ośrodków "Monaru" jego szef Marek Kotański. Ten sposób działania budzi wiele kontrowersji, wielu psychologów uważa go za nieskuteczny, jeśli chodzi o dalekosiężne skutki. Proteza w postaci guru nie sprawdza się w życiu narkomana, poza ośrodkiem.

Nieco inną metodę resocjalizacji narkomanów prezentują ośrodki należące do służby zdrowia. Ich system opiera się głównie na leczeniu pracą i żelaznym regulaminie, bez podpierania się osobą wszechwładnego i wszechwiedzącego szefa.

I wreszcie ośrodki kościelne, których do tej pory jest niewiele, gdzie próbuje się zastąpić narkotyki wiarą. A także nauczyć pacjenta, jak ma żyć ze swoimi sprzecznościami, osiągając kompromis między popędami własnymi i wymogami społeczeństwa, odnosić się do siebie z dystansem.

Liczbę wyleczeń określa się, w zależności od Ośrodka, na ok. 10-15%. Jedynie Marek Kotański podaje, że ma ich w swoich placówkach ok. 50%. Budzi to jednak znaczne wątpliwości. Tym większe, że znany w całej Europie, renomowany ośrodek Claude Olievensteina we Francji określa liczbę swoich wyleczeń na ok. 30%. Problem bowiem polega na tym, że zależność psychiczna od narkotyków, a zwłaszcza heroiny, ma charakter nawracający i może się odezwać nawet po kilku latach.

Baza lecznicza dla narkomanów nie jest obecnie zbyt bogata. I tak rehabilitację osób uzależnionych prowadzi obecnie 44 ośrodków "Monaru" i 6 ośrodków służby zdrowia. Placówki te dysponują 450 miejscami. Na terenie Warszawy, Gdańska, Krakowa, Legnicy, Lublina, Łodzi i Mińska Maz. działają poradnie specjalistyczne, a w ramach "Monaru" - 11 punktów konsultacyjnych. Ponadto służba zdrowia dysponuje ok. 80 łóżkami w oddziałach detoksykacyjnych.

Tymczasem obecnie potrzeby szacuje się na ok. 20 poradni, 200 łóżek detoksykacyjnych i 1200 miejsc w ośrodkach rehabilitacyjnych. Brakuje też personelu do pracy z narkomanami, głównie ze względu na niskie zarobki przy niezwykle uciążliwej pracy. Praca z osobami uzależnionymi jest bowiem bardzo absorbująca, mało efektywna i wymaga stałego napięcia emocjonalnego, a jej rezultaty są często sporadyczne i odległe.

"Narkoman, aczkolwiek jest ofiarą - mówi Claud Olievensteon nie jest ofiarą niewinną. Z całą świadomością wybiera sobie nieszczęście, swoją "niewolę". Mimo to jednak oczekuje pomocy i tę pomoc społeczeństwo powinno mu dać.

---

## DWUGŁOS O SPÓŁDZIELNIACH LEKARSKICH

Maria Znana

### 1/ JAKIE POWINNY BYĆ

Wszelkie dyskusje na temat spółdzielni lekarskich prowadzą nieuchronnie do zadania pytania podstawowego, a mianowicie o to, jakie racje przemawiają za wprowadzeniem płatnych usług medycznych komplementarnie wobec darmowej społecznej służby zdrowia.

Przypomnijmy, że w warunkach peerelowskich powstanie spółdzielni lekarskich było jedną ze zdobyczy destalinizacji w połowie lat pięćdziesiątych i stanowiło formę zastąpienia pokątnej praktyki lekarskiej, której istnienie nie było dla nikogo tajemnicą, a która jednocześnie poniekąd obrażała zasady ustrojowego realnego socjalizmu, czymś, co byłoby do przyjęcia z punktu widzenia władz, a zarazem w jakiś sposób zaspakajało potrzeby społeczne.

Istnienie obok siebie społecznej służby zdrowia, której obowiązkiem jest opieka medyczna nad wszystkimi obywatelami, dodajmy obowiązek wynikający z ustawy zasadniczej - i medycznych usług spółdzielczych czy prywatnych, dostępnych dla tych, którzy mogą za nie zapłacić, zawiera w sobie oczywiście zarodek zła, tym bardziej, że w tych dwu różnych służbach zdrowia pracują przecież ci sami lekarze.

Trudno bez reszty odrzucić pogląd, że ci spośród nich, którzy przyjąłby prywatnie w spółdzielniach, są w jakiś sposób zainteresowani takim funkcjonowaniem społecznej służby zdrowia, które zapewni spółdzielniom klientelę.

Wiemy już jednak dziś z całą pewnością, że placówki podległe resortowi zdrowia funkcjonują mniej więcej tak, jak inne placówki podległe innym resortom, i nie ma powodu, by można się było spodziewać, że w naszym strukturalnie dysfunkcyjnym systemie społeczno-ekonomicznym akurat służba zdrowia będzie wyjątkiem. W tej sytuacji należy na płatne usługi medyczne patrzeć jako na element humanizacji tego systemu, tzn. dostosowywanie go do

realnych potrzeb obywateli.

Jednym z najbardziej nieludzkich elementów organizacji społecznej służby zdrowia jest odebranie człowiekowi choremu prawa wyboru lekarza, u którego chciałby się leczyć. Nie musimy się przekorywać, jak istotne znaczenie dla wszelkiej terapii ma zaufanie pacjenta do lekarza leczącego. Należy przeto uznać, że wszystkie drogi, jakie prowadzą do przywrócenia choremu jego naturalnego prawa do wyboru takiego lekarza, który cieszyłby się jego zaufaniem - należy uznać za wiodące we właściwym kierunku.

Prywatne gabinety, urządzone w mieszkaniach lekarzy, na których w znacznej mierze opierała się w Polsce opieka medyczna w okresie międzywojennym, w zasadzie nie mogą dzisiaj dobrze spełniać swojej funkcji. Z jednej strony dzisiejsze warunki mieszkaniowe zdecydowanej większości lekarzy praktycznie wykluczają możliwość prowadzenia prywatnego gabinetu z prawdziwego zdarzenia, z drugiej zaś ogromny rozwój stosowanych we współczesnej medycynie środków technicznych, bez których nikt z nas nie wyobraża sobie dzisiaj wykonywania zawodu, powoduje że bardzo trudno byłoby ten gabinet pojedynczemu lekarzowi należycie wyposażyć.

Czynniki te prowadzą do oczywistego wniosku, że społecznie sensowniejszą formą płatnej opieki medycznej są spółdzielnie lekarskie, zapewniające wspólny warsztat pracy dla większej ilości specjalistów, stwarzające możliwość wspólnego zakupywania potrzebnego sprzętu etc.

Żeby jednak spółdzielnie te mogły należycie spełniać swoją rolę, musi być przede wszystkim tak, aby ich członkowie-lekarze byli ich współwłaścicielami i gospodarzami, aby od ich wspólnej decyzji zależało wszystko, co przesądzać będzie o codziennym funkcjonowaniu spółdzielni.

Od decyzji spółdzielców powinno zależeć przede wszystkim to, w jaki sposób będzie się dzielić uzyskane od pacjentów środki pieniężne między samych lekarzy, zatrudniany przez spółdzielnię personel pomocniczy, ile będzie się przeznaczac na inwestowanie w sprzęt czy na koszty wynajmu lokalu etc. Obecna praktyka, polegająca na tym, że w większości spółdzielni wypłaca się lekarzowi ok. 30% opłaty wnoszonej przez chorego, podczas gdy 70 % podziewa się nie wiadomo gdzie - jest nie do przyjęcia.

Elementarnym wymogiem prostej uczciwości jest zapewnienie przychodzącemu do spółdzielni i płacącemu za jej usługi pacjentowi takich warunków, jakie powinno się stwarzać choremu, cierpiącemu człowiekowi. Pacjent powinien mieć pewność, że przebywa w zakładzie o p i e k i medycznej, że cały ten zakład stworzono właśnie po to, by się tu chorymi ludźmi opiekować, że lekarz, do którego przyszedł, ma specjalnie dla niego czas, po to tu jest, aby mu pomóc, a personel pomocniczy ma lekarzowi w tym spełnieniu opieki pomagać.

Niedopuszczalny jest pośpiech stresujący pacjenta i jeśli nawet etymologicznie słowo "pacjent" wywodzi się od cierpliwości, nie powinno być tak, aby liczyć, że chory, słaby człowiek cierpliwie zniesie wszystko, pokona barierę zawsze czegoś niezadowolonych i opryskliwych rejestratorów, będzie godzinami czekał w kolejce, bo z jakiegoś tam powodu nie przyjmują się zgłoszeń telefonicznych, a potem szybko opuszcza gabinet patrzącego nerwowo na zegarek lekarza.

Zasadniczą część kosztów funkcjonowania spółdzielni, a więc tych pieniędzy, które nie są wypłacane lekarzowi, powinna być przeznaczona na zorganizowanie infrastruktury pomagającej pacjentowi w leczeniu, a więc na zapewnienie koniecznej informacji, pouczenie o tym, co należy na wizytę ze sobą przynieść/ dokumentacja, wyniki badań etc./, a także pomagającej lekarzowi w pracy, zdejmującej z niego obowiązki administracyjne, papierkowe etc. i przerzucającej je na odpowiednio przeszkolone sekretarki medyczne.

Należy przyjąć jako zasadniczą wytyczną, że największą przewagą spółdzielczości lekarskiej nad uspołecznioną służbą zdrowia powinna być strona organizacyjna, bowiem przecież właśnie zła organizacja pracy jest podstawową przyczyną niefunkcjonalności uspołecznionej służby zdrowia, opierającej się przecież na tych samych co spółdzielczość kadrach fachowych.

Ryszard Płonki

2/ NA PROGU - BANKRUCTWA

Jedną z miar niedoskonałości służby zdrowia jest fakt, że spółdzielnie lekarskie cieszą się dużą popularnością. Rocznie średnio 9 milionów pacjentów, czyli 20 % chorych kieruje się nie do swojej przychodni, lecz do poradni spółdzielczej, gdzie wprawdzie trzeba płacić, ale za to uzyskuje się stosunkowo łatwo dostęp do specjalisty bez wysiłku przerastającego siły chorego człowieka.

Gdyby spółdzielcza sieć poradni była gęsta, pacjentów byłoby więcej. W tym roku pojawiły się jednak symptomy wskazujące, że korzystanie z tej formy leczenia będzie coraz trudniejsze. Spółdzielnie stanęły na progu bankructwa. Stało się to za sprawą obowiązującego powszechnie w całej gospodarce systemu obciążeń finansowych jednostek gospodarczych.

W 1985 roku weszły w życie nowe zasady ustalania podatku dochodowego i obciążeń na FAZ. Do poprzedniego roku włącznie podatek dochodowy miał charakter progresywny; im wyższą rentowność uzyskiwało przedsiębiorstwo, tym większy procent zysku zabierał skarb państwa w formie podatku. Spółdzielnie lekarskie, osiągające niewielką rentowność, zobowiązywały zyski do swojej dyspozycji.

Obecnie obowiązuje generalna zasada - 65% każdej kwoty zysku zabiera państwo. Z punktu widzenia budżetu jest to system o wiele bardziej efektywny - dotyka w równym stopniu wielkich i małych, a poza tym zmusza do maksymalizacji zysków, co najłatwiej osiągnąć drogą żyłowania cen i ściągania pieniędzy od ludności. I o to właśnie w ostatecznym rachunku chodzi.

Największa w kraju spółdzielnia lekarska "Medica", mająca 32 przychodnie w Warszawie i województwie, obsługująca 1 mln pacjentów rocznie, osiągnęła za I półrocze 1985r. zysk w wysokości 30 mln zł. 17,5 mln zł ściągnął fiskus w charakterze podatku, 10 mln zł to odpisy na FAZ, zostało 2,5 mln. To oznacza, że jeśli przez 4 lata spółdzielnia nie przeznaczy ani grosza na fundusz socjalny, 13-tkę itp. to będzie sobie mogła kupić 1 aparat rentgenowski. W III kwartale, w sezonie urlopowym, część przychodni była zamknięta i wynik finansowy stał się tak alarmujący, że aby wyjść na swoje, od 1 października podniesiono w spółdzielni ceny usług. Wizyta u lekarza kosztuje już 300 zł, wizyta u specjalisty w "profesorskiej" spółdzielni na ul. Waleców - 650 zł.

Trzeba zaznaczyć, że wynagradzany w systemie prowizyjnym lekarz w stopniu profesora czy docenta dostaje 180 zł od każdego pacjenta, prawie drugie tyle /80%/ kosztuje "obsługa" tej jego prowizji /składki ZUS, fundusz urlopowy, fundusz emerytalny/. Z pozostałej kwoty opłaca się personel pomocniczy w przychodni, pokrywa koszty materiałów i transportu, opłaca urzędników zarządu spółdzielni, a zysk zagarnia państwo w postaci podatku, albo odpisów na FAZ.

Państwo więc od każdego pacjenta przychodni spółdzielczej ściąga kilkudziesięciozłotowy haracz za to tylko, że samo nie jest w stanie zapewnić mu opieki w uspołecznionej służbie zdrowia.

Głównym obecnie zadaniem Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych jest niedopuszczenie do nadmiernego zwiększenia płac. Temu celowi służy system odpisów na osławiony FAZ. Do 1984 r. można było podnosić płace o 5 % w stosunku rocznym bez konieczności płacenia kar na FAZ; w kwietniu 1985 r. jednostki gospodarcze dowiedziały się, że od 1 stycznia obniżono próg podwyżek wolnych od obciążeń do 3 % w skali rocznej.

Jedna tylko spółdzielnia "Medica" zapłaciła 7 mln zł kary za to, że przekroczyła próg, o którego istnieniu nie wiedziała wcześniej.

Ustawodawca dopuszcza większe niż 3-procentowe podwyżki płac pod warunkiem, że zachowana zostanie relacja między wzrostem płac, a wzrostem wartości towarów czy usług i w tym samym procencie od płace wzrośnie sprzedaż.

Spółdzielnie lekarskie mają możliwość zwiększenia wartości świadczonych usług poprzez zatrudnienie większej ilości lekarzy. W praktyce jest to moż-

liwość iluzoryczna. Na początku każdego roku toczą się boje między władzami spółdzielni a Lekarzem Wojewódzkim o każdą "głową" zatrudnioną w przychodni spółdzielczej. Dla lekarzy jest to zajęcie dodatkowe, a na pracę dodatkową w spółdzielni musi wyrazić zgodę Lekarz Wojewódzki.

Zatrudnienie emerytów czy rencistów, stanowiących gros pracujących w poradniach stomatologicznych, też jest obciążone jednym nieprzekraczalnym warunkiem - dentysta-emeryt nie może zarobić więcej niż 10 tys. zł miesięcznie, w przeciwnym wypadku zawiesza mu się prawo do renty czy emerytury.

W rezultacie stomatolodzy część roku siedzą w domu nie pracując, aby nie przekroczyć zakazanego progu 120 tys. zł rocznie, a na drzwiach poradni wiszą kartki "Zamknięte z powodu braku lekarzy". Niektóre poradnie stomatologiczne wykorzystane są zaledwie w 30%, w pozostałym czasie stoją zamknięte tylko dlatego, że lekarzom nie wolno dorobić do emerytury więcej, niż 120 tys. zł. Łagodniejsze przepisy obowiązują hydraulików; ci, jako przedstawiciele zawodów oficjalnie zaliczonych do deficytowych mogą zarobić 144 tys. zł rocznie nie licząc tzw. fuchy, której stomatolodzy nie mają.

Nieszczęściem spółdzielni lekarskich jest to, że usługi przez nie świadczone nie są całkiem typowe. Teoretycznie można by zwiększyć wydajność pracy w tych placówkach kosztem jakości świadczonej pomocy. Teoretycznie lekarz może zwiększyć rotację pacjentów, zamiast 4 osób w ciągu godziny, przyjmując 8.

Ale w ten sposób, gwałcąc brutalnie zasady etyki lekarskiej, może uzyskać tylko to, że pomoc w spółdzielni osiągnie taki sam stopień odhumanizowania, jak w przychodni rejonowej i chory przestanie być zainteresowany tą formą porady.

Ustawodawca, ustalając przepisy finansowo-skarbowe dla jednostek gospodarujących przewidział, i owszem, pewne preferencje dla dziedzin, których rozwój ze społecznego punktu widzenia jest szczególnie pożądanym i tym przyznał znaczne ulgi finansowe.

Zeszyt metodyczny GUS na 1985r. wymienia te dziedziny działalności. Są tam usługi pralnicze, fotograficzne, weterynaryjne i wiele innych o wspólnej nazwie "usług bytowych". Przez "niedopatrzenie" urzędnika GUS-u usług lekarskich w tej szufladce nie ma. Gdyby były zaliczone do dziedziny usług bytowych, spółdzielnie lekarskie nie musiałyby płacić ani grosza podatku.

Przez cały 1985r. 12 miesięcy toczyły się starania spółdzielczości lekarskiej i Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy o zaliczenie tej dziedziny do usług bytowych. Wszyscy rozmówcy, reprezentujący wysokie szczeble administracji państwowej - wiceminister zdrowia, dyrektor departamentu MPPiSS, towarzysze z KC, wykazywali pełne zrozumienie dla problemu i na tym zrozumieniu się kończyło.

Nowy minister Handlu Wewnętrznego i Usług zapewnił nawet ustnie spółdzielców, że od przyszłego roku usługi lekarskie będą zaliczone do usług bytowych. Póki co jednak trudno przewidzieć, jakie nowe, represyjne przepisy wejdą w życie od przyszłego roku. Przepisy finansowe są bowiem ustalane ad hoc, jako odpowiedź na sytuację gospodarczą kraju i w poczynaniach ministra Nieckarza znacznie więcej jest taktyki komornika, niż strategii finansisty.

W artykule "Życia Warszawy" na temat spółdzielni "Medica" prześlizgnęła się obrazoburcza teza, że komuś zależy na likwidacji spółdzielczości lekarskiej. To, niestety, nieprawda. Jest znacznie gorzej. Spółdzielnie lekarskie nie są żadną enklawą, ani specjalnie chronioną, ani też tępiącą.

Podlegają regułom, ustalonym przez aparat gospodarczy państwa dla wszystkich sfer gospodarki. Że te reguły wiążą wszelką samodzielność i przedsiębiorczość - to prawda. Tak jest wszędzie, z wyjątkiem najsilniejszych, którzy groźbą strajku potrafią wyszantażować inne kryteria oceny, ale tylko dla siebie.

Tymczasem spółdzielnie lekarskie mają dużą swobodę w kształtowaniu cen na swoje usługi, czyli w podnoszeniu opłat. Można skubać pacjentów, a nawet trzeba, bo o to właśnie chodzi. Nawis inflacyjny musi być ściągnięty. Czy akurat od chorych?

Jerzy Kropiwnicki

ZAPIS PROTESTU / fragmenty /

Notatka od Redakcji. Jerzy Kropiwnicki, doktor ekonomii, do stanu wojennego adiunkt na Uniwersytecie Łódzkim, wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej NSZZ "Solidarność", był aresztowany razem z Andrzejem Słowiakiem /przewodniczącym/ 13 grudnia 1981 r. w siedzibie Zarządu Regionu przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi i skazany na karę więzienia. Zwolniony na mocy amnestii w lipcu 1984 r. Przebywał w kilku więzieniach w Polsce, w tym ostatnie 11 miesięcy w Barczewie. Jako człowiek o dużym autorytecie moralnym był rzecznikiem interesów grupy więźniów politycznych - działaczy Solidarności osadzonych w tym więzieniu. Walczył i walczy o status więźnia politycznego. Przez cały czas prowadził skrupulatne notatki, w których zawarł szczegóły dni więziennych, rozmów z kolegami i władzami oraz własne odczucia. Z tych notatek powstała wstrząsająca swym autentyzmem książka "Zapis protestu", która ukaże się w najbliższym czasie. Z tej książki publikujemy kilka fragmentów, które, jak nam się wydaje, powinny zainteresować naszych czytelników.

... No więc będę pisał dla siebie oraz dla tych, którzy staną wobec konieczności obrony siebie, swej godności, wartości, jakim chcą być wierni, a nie będą mieli zbyt wielkiego wyboru środków. Będą chcieli wiedzy - bo będą bali się, tak jak ja tu we wrześniu, bo będą bali się lękiem niekonkretnym, a przez to ogromnym. Lęk konkretny to lęk mniejszy. O konkretnych można myśleć pragmatycznie. Konkretnym zagrożeniom można jakoś przeciwdziałać, czy też starać się przeciwdziałać. Myślenie o groźbach konkretnych nie paraliżuje umysłu, zmniejsza stresy.

Będę pisał dla lekarzy - dla nich to może być ciekawe i chyba ważne - "autoobserwacja obiektu doświadczalnego". Nieźle. Kto z nich zna się na problemach organizmu, który "wpadł w głód"? Chyba tylko Marek Edelman. On to widział i tego doświadczył w warszawskim getcie. Ale czy prowadził wtedy takie obserwacje? Wtedy był przede wszystkim przywódcą konspiracji, potem Zastępcą Komendanta Powstania - dopiero długo potem stał się lekarzem.

Jak ja bym chciał poczytać coś fachowego na temat głodówek! To co wpadało nam w ręce w Hrubieszowie, było ogromnie użyteczne - w tym sensie, że korzystano się z każdej informacji - ale jak niewiele, w stosunku do naszych potrzeb, tych informacji użytecznych było.

A więc piszę dla siebie, dla kolegów i dla lekarzy. Piszę historię organizmu, który pozbawiony jest pożywienia. Organizmu ludzkiego. Przeżycia psychiczne, generalny "stan ducha" też będą ważne. A istota konfliktu między nami a władzami więzienia i ich zwierzchnikami? A nasze relacje koleżeńskie "w gronie politycznym"?... Nad tym jeszcze się zastanowię.

X X X

Czwartek, 29 marca, ósmy dzień głodówki

Ten dzień zapamiętam, choćby zabrano mi i zniszczono wszelkie notatki! Zaczął się prawie normalnie. Piszę "prawie", bo był to dzień kolejnego kryzysu fizycznego. Wstałem z łóżka o zwykłej porze - z najwyższą niechęcią "wykopalem się" z koców. Czułem ogromną senność, mdłości i ból głowy. Zdjęcie swetra i koszuli kosztowało mnie bardzo dużo... Było mi bardzo zimno.

Umycie się w zimnej wodzie wymagało ogromnej koncentracji woli. Mdlilo mnie przy picciu herbaty. Czułem zawroty głowy przy każdym wstawaniu i siadaniu. Przy siadaniu na muszli klozetowej - niżej od stołka czy łóżka - tak zakręciło mi się w głowie, że o "mały włos" wylądowałbym na podłodze. Stolca nie było. Wstawałem bardzo ostrożnie, wspierając się ręką na wątkiej obudowie kibla.

Gdy już wstałem, poczułem lekki zawrót głowy, na czoło wystąpił mi pot, i brakowało mi oddechu. Przysunąłem stołek do ściany i przesiadłem tam jakąś chwilę oparty plecami o ścianę, trzymając się ręką za górne łóżko. Gdy oddech wyrównał się, pot na czole wysechł a zawrót głowy zmniejszył się, obmyłem twarz zimną wodą.

Ostrożnymi ruchami /żeby nie naruszyć tej chybotałej równowagi/ wytarłem twarz, nie ruszając jednak czoła. Poczułem się nieco lepiej. Noga /żeby się nie schylać/ przysunąłem stołek do stolika, ostrożnie siadłem i wziąłem



się do hiszpańskiego.

Bardzo nie chciało mi się uczyć, ale uparłem się. Bałem się, że jak raz ustąpię wobec "grymasów" organizmu, to już nigdy nie będę w stanie zmobilizować się psychicznie, przerwę naukę. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Jeśli dotąd udawało mi się uniknąć okresów hysterii i "zamulenia"/szczególny rodzaj apatii/, tych dwóch przejawów choroby więziennej, to chyba tylko dzięki reżimowi, jaki sobie naraziłem, dzięki temu, że w uczeniu się znajdowałem ucieczkę od pustej monotonii życia w kryminale.

Obecnie mam o wiele więcej powodów do tego, by trzymać się takich reżimów. Jeśli nie wezmę się twardo w garść, jeśli popuszczę sobie, to mogę "pęknąć" i psychicznie i fizycznie. Trzeba jak najmniej myśleć o głodówce, o jej skutkach dla organizmu, trzeba odsunąć od siebie oczekiwania, że może za chwilę oni ustąpią...

Wiara w słuszność walki i ostateczne zwycięstwo - to nie to samo, co oczekiwanie, że przeciwnik ustąpi za następne pięć minut. Pierwsze daje siłę, drugie prowadzi do frustracji, paniki, rozpacz, do klęski...

Gdybym nie miał książek, zająłbym się czymś innym - układałbym wiersze, grał sam ze sobą w inteligencję, rysował esy-floresy, prał bieliznę. Robiłbym cokolwiek, byle wyłączyć się psychicznie z tej rzeczywistości.

Pozostać panem swej psychiki, swych myśli. Pozostać panem siebie. Jeśli uda mi się panować nad swoją psychiką, przetrzyman ich również fizycznie. Wierzę w to. Wiem, że tak będzie. Musi tak być.

Wziąłem się do hiszpańskiego. Gramatyka: "Zaimek uno", "Usted", "Szyk wyrazu określonego przez czasownik w formie osobowej", "Rodzajnik określony". Skończyłem na stronie 87. Plecy bolały. Położyłem się na moment. Przy wstawianiu nie czułem już zawrotów głowy. Ból głowy też znacznie zmniejszył się. Wywołują na wagę. Ważę 61,400 kg. O kilogram mniej niż trzy dni temu, o 12,200 kg mniej niż w listopadzie.

Do Perlina już nie wróciłem. Przerwałem na stronie 30, w trakcie lekcji 4. Przed spacerem zdażyłem jeszcze otworzyć "A traves"...", ale zanią znalazłem w słowniku pierwsze nieznanne słówko, strażnik wywołał mnie z celi.

Na spacerniku jak zwykle: szybko krążący, głęboko oddychający Władek /obszerne wymachy rąk, zmarszczone czoło, skupiony wyraz twarzy/ i spacerujący wolnym kroczkiem, lekko zgarbiony, z nieco roztargnionym wyrazem twarzy, Piotrek. Ten codzienny przecież widok rozbawił mnie: Piotrek spaceruje - Władek tankuje tlen.

Dziwne - pamiętam, że ta koncentracja wprawiała mnie w tak dobry humor, że ustąpiły wszystkie nieprzyjemne objawy kryzysu. Poczułem coś na kształt dumy - tak jak gdybym odkrył coś niezwykle ważnego, co absorbowało mój intelekt od dłuższego czasu. A może rzeczywiście tak było? Może oglądając codziennie tę samą scenę na spacerniku podświadomie próbowałem ją sobie jakoś określić, zdefiniować? Po co? - Nie wiem, ale chyba było w niej coś, co mnie dręczyło./.../

X X X

/.../ Godziny mijają a z nimi nasza euforia. Zaczynamy odczuwać brak powietrza. To już zjawisko z zakresu fizyki i biologii, a nie psychologii. Właściwość konstrukcyjna celi. "Bunkier" to cela o podwójnych ścianach-tak, jakby ktoś do normalnej celi wstawił drugą, nieco mniejszą. Ta mniejsza cela ma okno z plexi, wbudowane w ścianę. Dopływ powietrza przez kratę w suficie /Ale fajna kratka! - krzyczy Stański - przez takie otwory "Cyklon B" w obozach koncentracyjnych puszczali!/,

A jak dopływa powietrze do tego otworu? Przez zewnętrzne okno-nie, bo też wmurowane w ścianę. Zaraz, zaraz: gdy były otwarte drzwi od korytarza, powietrza nie brakowało, pomimo, że wewnętrzne drzwi były zamknięte. A są one "hermetycznie szczelne". Wygląda na to, że obieg jest następujący: powietrze z korytarza przechodzi do większej, czyli zewnętrznej celi, przenika do wolnej przestrzeni między sufitem mniejszej a większej celi/odstęp wynosi dobre pół metra - wysokość normalnej celi znamy/ i stamtąd przez kratę do wewnętrznej celi przez kratkę. Oczywiście system działa, gdy otwarte są drzwi na korytarz. Jeśli nie - mamy tyle powietrza ile mieszczą gabaryty większej, zewnętrznej celi.

Jesteśmy dumni z naszego odkrycia, choć wcale nie przybywa nam dzięki

niemu powietrza do oddychania. Ale zawsze przyjemniej jest wiedzieć, dlaczego człowiek się poddusza.

Szczekają zasuwy zewnętrznych drzwi. Potem zamek wewnętrzny. Powiew powietrza. Kolacja. Tadek i Władek nie biorą, chociaż ich namawiam. Chcemy pić. Przynoszą kubki z cel. Na herbatę nie chcą się zgodzić. My nie chcemy "kotłowy", nie chcemy, bo diabli wiedzą co pan naczelnik dziś kazał "buntownikom" dosypać. Wypiliśmy kranówkę. Zapaliliśmy światło. Oślepiający ostry blask. Dopiero uświadomiłem sobie, że siedzieliśmy tu w półmroku. Obie pary drzwi znów zamknięte. Narasta zmęczenie.

- Zaduśzają nas tu, sk...!

- Andrzej mi mówił, że jak go tu zamknęli samego, to po pół godziny miał dosyć.

- Tu brak powietrza dla jednego, nas jest trzech.

- Kropa, ty się połóż, źle wyglądasz.

Kładę się na tym cholernym łóżku. Metalowa konstrukcja wbudowana w podłogę pośrodku celi pokryta deskami: łożę z zagłówkami. Układam się wykonując szereg skomplikowanych ruchów ciałem-rękami niewiele mogę sobie pomóc: skute. Poruszam się jak skacowany zaskroniec. Dobra, Leżę. Głowa na drewnianym zagłówkę, grzbiet i nogi na dechach, ręce elegancko splecione na brzuchu. Prawy nadgarstek trochę boli.

Próbuję delikatnie przekręcić nieco kajdanki-może znajdę takie ułożenie, że ucisk będzie mniejszy. Robię to po omacku, bo oczy trudno otworzyć: żarówka w tym eleganckim pomieszczeniu umieszczona jest nad drzwiami. Dobra, silna żarówka-chyba że 150 W i jeszcze metalowa błyszcząca, odpowiednio wygięta blacha tuż nad nią /do cel dają łobuzy bajwyżej 60 W-owe/. W sumie niezły reflektor, prosto w oczy leżącego.

Rozumiem, dlaczego ten zagłówek ma taki właśnie kształt-oprzesz na nim głowę i żarówka dokładnie naprzeciw oczu. Jakże to wszystko starannie przemyślane, jak dokładnie wykonane! Ciekawe-czy mają takich zdolnych konstruktorów, którzy spontanicznie chwytają istotę bunkra, czy też jest jakaś tajna instrukcja, drobiazgowo opisująca takie właściwości owego szczególnego pomieszczenia?

Usiłuję zmienić nieco kąt oparcia głowy. Ręce pod głowę-nie bardzo-metal kajdanki ugniata w głowę-w kark. Może przewrócić się na bok? też niewygodnie. Tadek naciska na włącznik dzwonka. Władek przerywa powolny "spacer" po celi. Trzask-skrzyp-trzask-skrzyp otwierają się drzwi. Jakiś nieznany strażnik. W tle, na korytarzu jeszcze kilku. Zachłystujemy się świeżym powietrzem.

- Co się urodziło?

- Do ubikacji potrzebuję, panie oddziałowy.

- Ja decyduję, kiedy potrzebujecie do ubikacji. Ale niech wam będzie.

Wygadanego zwykle Stańskiego zamurowało. Nas też. Tadek przechodzi do "przedpokoju" między drzwiami na korytarz a drzwiami celi wewnętrznej. Załatwia potrzebę pod czujnym okiem strażników ładu i porządku.

- Następny! Bo nie będę biegał tu co pięć minut.

Idzie Władek. Tadek próbuje negocjacji:

- A może by pan zostawił te wewnętrzne drzwi otwarte, nie musielibyśmy pana fatygować? Bo wie pan, z tym to się nie da tak, na komendę.

- Nie wolno.

- Dlaczego?

- Bo nie wolno. A w ogóle, odsuńcie się od drzwi.

Moja kolejka. Przechodzę do "kącika sanitarnego". Naprzeciw-"kącika jałdalny" ze stolikiem i stołkiem. Pełna kultura. Takie zaplanowanie "przedpokoju" to też świadectwo nie byle jakiego umysłu.

Rozpinanie rozporka skutymi rękami i dalsze niezbędne w owej "konkretnej sytuacji" operacje-to czynności bardzo skomplikowane. Dobrze, że nie muszę siadać na muszlę, bo nie wiem, jak bym się potem podtarł.

Strażnicy obserwują czujnie każdy mój ruch, tak gdyby oczekiwali, że za chwilę wyciągnę z rozporka karabin maszynowy lub wiązkę granatów. Czuję upokorzenie, ogarnia mnie gniew. Opanowuję to.

Piątek, 30 marca.

Budzi mnie szczerk otwieranych drzwi. Czoło mam spocone, głowa boli, czuję mdłości. Siadam. Kręci mi się w głowie. Bola mnie nadgarstki. Bola mnie plecy. Dyżur ma "Cyganka" i Słoń. Jest asysta-kilka osób. Śniadanie. Odmawiamy. Ubikacja. "Cyganka" wygania całą asystę na korytarz. Sam też wychodzi. Słoń delikatnie przymyka drzwi. Czuję wdzięczność za ten odruch delikatności, świadectwo kultury osobistej. Zakatwione.

Zanim znowu zamkną drzwi, Tadek prosi o przyniesienie herbaty-od Piotrka albo od Andrzeja, bo wie pan, Moczulski nie umie... Słoń spogląda pytająco na "Cygankę": "Nie ma zakazu...". "Cyganka" kiwa głową. Słoń wychodzi. Kalifaktorzy zabierają materacę i koce. Trzask, trzask. Zostajemy sami. Ale, nie-trzask, trzask - Słoń z litrowym słoikiem gorącej herbaty. Stawia ostrożnie na łóżu.

- Słodzona. Kubki macie ?

- Mamy, dziękujemy.

Po herbacie czuję się dużo lepiej. Ale to "dużo lepiej", to rzecz bardzo względna. Boli głowa, język wydaje mi się gruby i szorstki, jak gdyby pokryty papierem ściernym, plecy bolą, nogi drżą. Przy każdym pochyleniu się czuję żarót głowy. Nie chce mi się rozmawiać. Ponieważ dostrzegam w oczach kolegów pewne zaniepokojenie, mobilizuję resztki sił i robię Stańskiemu lekką awanturę na temat "przeszmuglowanej" książki.

Że obszarpana. Że mam bardzo złe zdanie o ludziach, którzy nie szanują książek. Że podkreślać, pisać, zaznaczać we własnej książce-to w porządku, to akceptuję, to sam robię/pewnie dlatego akceptujesz- wtrąca Tadek. Władek uśmiecha się złośliwie/, ale za tak obszarpaną książkę, to ja bym... Koledzy odprężają się. Skoro Kropa zrzedzi, to znaczy, że nie jest z nim tak źle.

A ze mną nie jest dobrze. Czuję się bardzo źle. "Nie dać się, nie dać się" - powtarzam uporczywe myśli. Jestem bardzo zadowolony, że koledzy zajęci są rozmową. Nie wiem, ile czasu tak mija. Leżę na łóżku. Zasypiam, budzę się. Światło w dzień jest zgaszone, całkiem nieźle by się spało...

Słoń przynosi kawałek suchej kiełbasy: "To od Bednarza, nie zakazali podawać żywności". Koledzy krępują się-jak tu jeść przy głodującym? Ale dla mnie to naprawdę żaden problem. Po tygodniu głodówki można mi stawiać jedzenie pod nosem i nie działa to na mnie. Patrzą z niedowierzaniem. Więc udaję zdenerwowanego. Mówię, że wolę żeby zjedli, niż żeby "toto" w celi leżało. Ten argument trafia do przekonania. Ciekawe: nie uwierzyli, gdy mówiłem prawdę, a uwierzyli w kłamstwo...

Znowu zasypiam, budzę się, zasypiam, budzę się... Jestem obolały od tego leżenia na dechach. Mdli mnie. Nie słyszę rozmów. Cały koncentruję się na tym czymś niedobrym, nieprzyjemnym, na tym czymś, co tam we mnie rośnie. Wytrzymać, wytrzymać, wytrzymać... Jeśli jeszcze trochę wytrzymam, potem będzie lepiej, potem będzie lepiej, będzie lepiej...

/.../ Zatracam poczucie czasu. Leżę. Całego mnie wypełnia to "daj wytrwać". Poza tym nie ma nic. Nic nie widzę, nie słyszę, nic nie czuję...

Uderzenie ostrego światła w oczy, szczerk, powiew powietrza. Ożywiamy się. Wstajemy z zaciekawieniem. Do celi wchodzi mężczyzna w białym kitlu. Proszę, proszę - sam pan ordynator, dyrektor szpitala więziennego, doktor Sobolewski !

- Było użycie siły, dolega coś któremuś ?

Nie ma ze sobą ani naszych książeczek zdrowia, ani nawet kartki papieru. "Odstawia pozorację", jak wtedy po pobiciu Słowika. Spoglądamy z Władkiem na siebie: szkoda czasu na takiego, niech sp... Milczymy. Tadek zbliża się do niego

- Sam pan widzi, pani doktorze. Trzymają nas w tym bunkrze ponad dobę. Powietrza brakuje, zaduszą nas tu. Mamy siniaki po kajdankach. Złośliwie docisnęli. A Kropiwnicki- sam pan widzi- wygląda gorzej niż śmierć na choregwi. On jest w dziesiątym dniu głodówki. Głodujących nie wolno tu zamykać.

- Ja mu głodować nie kazałem. A jakbyście nie szalęli, to byście byli w swoich celach, a nie tu.

- Pan jest lekarzem ?! Jak pan się nazywa ?

Sobolewski wzrusza ramionami i odwraca się plecami. Rusza do drzwi.

- I tak się dowiem, jak się pan nazywa !  
Podchodzę do Sobolewskiego.

- Jeśli chce pan choć trochę dla nas zrobić, to niech pan wpłynie, żeby co pół godziny otwierali te drzwi na korytarz. Wewnętrznych i tak nie sforsujemy, a tu naprawdę brakuje tlenu...

Mówię to z trudem. Sucho w gardle i w ustach. Sobolewski zatrzymuje się, odwraca, podchodzi do mnie, przygląda mi się z zainteresowaniem. Chwyta mnie za nadgarstek. Trzyma przez chwilę. Przesuwa palcem po wewnętrznych stronach dłoni, potem po wargach, naciska policzki, zagląda w oczy. Potem w milczeniu odwraca się w wychodzi z celi.

- Czemu się uśmiechaliście ? Znacie tego sk... ?

Władek wybucha śmiechem.

- Przecież to Sobolewski. Ten sam, co stwierdzał, że łaźnia odkażona. Ten sam, co siniaków na obdukcjach nie widzi. Widziałeś? - trzech miał badać, a nawet kartki ze sobą nie wziął, ani długopisu. Genialna pamięć - nie ? Jedno masz bankowo/pewne/: facet napisze w książeczkach dokładnie to, co mu naczelnik każe...

/.../ 6 kwietnia, 16 dzień głodówki.

Szuję się dużo lepiej. Kolejny kryzys minął. Nie czuję się już tak potwornie zmęczony i ośpiał jak wczoraj. Z największym trudem wykonałem normalną porcję hiszpańskiego. Zasypiałem nad książką, nosem się podpierałem, ale w końcu jakoś to ustąpiło. Plecy bardzo bolą. Najgorsze to, że nawet położyć się na chwilę trudno było, by przy każdym ruchu / wstawanie, smadanie, schylenie się / czułem zawroty głowy. Większość dnia przesiedziałem więc przy stole, opierając się przedramioniami jako "podpórkami" dla głowy.

Dziś dużo lepiej. Język gruby, gąbczasty, biało-żółto-brązowy, uczucie suchości w jamie ustnej /wczoraj sięgało głęboko w głąb gardła/. Mdłości i zawroty głowy ustąpiły. Wargi nadal szorstkie, splekane. Łuszczą się? Wargi? Skóra naciśnięta palcem/to taki test, na odwodnienie/ zachowuje elastyczność. Szybko wraca do poprzedniej formy.

Korzonkowe dolegliwości znacznie zmniejszyły się. Stopy mnie pieką. Z wierzchu. Tam, gdzie wczoraj posmarowałem maścią przyslaną przez Piotra. Powinienem być jednak użyć również na stopy tej sowieckiej. Na udach nie ma takich sensacji.

Zimno mi. Kaloryfer grzeje, ale zimno mi. I to pomimo tego, że wczoraj wieczorem na moją prośbę zamknięto mi okno na stałe. Na nogach mam dwie pary grubych wełnianych skarpet i filcowe/?/domowe bambosze. Dwie pary kalosonów, spodnie. Dwie podkoszulki, koszula, bardzo gruba, specjalnie na moje zamówienie zrobiony wełniany sweter i marynarka skarbowa z tkaniny bawełnianej. Zimno mi w palce rąk, mam zimny nos, dreszcz ochłodu "chodzi" po plecach. Wierzchy stóp pieką, ale to nie daje ciepła. Po prostu piecze.

Po herbacie trochę lepiej.

/.../ W listopadzie dowiedzieliśmy się, że w łaźni na naszym oddziale kąpią się chorzy na żółtaczkę zakaźną. Oddział dla zakaźnie chorych znajduje się na piętrze, nad nami. Służbę nocną odbywają ci sami strażnicy. Ten sam wychowawca. Na oddziale zakaźnym i u nas.

W imieniu kolegów przedstawiłem wówczas problem naczelnikowi. Był to jeszcze czas "odprężenia". Naczelnik sprawiał wrażenie zaskoczonego tym stanem rzeczy. Objął funkcję kilka tygodni wcześniej i nie wiedział... Obiecał podjęcie natychmiast prac adaptacyjnych. Jedno z pomieszczeń na piętrze zaczęto przerabiać na łaźnię dla "żółtych". Nas tymczasem prowadzono do łaźni w innym pawilonie. Po ukończeniu łaźni "na górze" nasza miała być odkażona przez upoważnioną wyspecjalizowaną instytucję zewnętrzną. Naczelnik obiecywał pokazać nam "protokół odkażenia"...

W grudniu, w ramach ogólnego "przykręcania śruby" i w związku z naszym protestem przeciw tej nowej polityce pozbawienia nas uzyskanych tu praw, przestano nas prowadzić do łaźni. Tej nieodkażonej. Na górze trwały jeszcze prace adaptacyjne, "żółci" chodzili kąpać się na naszym oddziale.

Odmówiliśmy chodzenia do tej łaźni. Naczelnik się uparł i w efekcie myli-

śmy się w celach. Mycie w celi! Nie sposób umyć się dokładnie. Uczucie brudu, lepkości - to było bardzo nieprzyjemne. Po dwóch tygodniach wydawało się nie do zniesienia. Niektórzy z nas poszli do łaźni 16 grudnia, po informacji oddziałowego, że "było odkażone". Pozostali /w tej liczbie ja/ w tydzień później po zapewnieniu przez dra Sobolewskiego, dyrektora szpitala i jednocześnie ordynatora oddziału zakaźnego, że odkażenie zostało dokonane w sposób właściwy i chorzy na żółtaczkę już z tej łaźni nie korzystają. I jedno i drugie okazało się kłamstwem.

Rozbiegane oczy tego "lekarza", gdy przedstawialiśmy mu dowody, że "mija się z prawdą". Wydawało się przez moment, że budzi się w nim sumienie, że poczucie przyzwoitości... Bzdura. Ważniejsze okazały się ostatecznie dyspozycje administracyjne. Polecenie zwierzchników. Na kompromitację zareagował kolejnymi matactwami. Już nie lekarz. Po prostu "wzorowy funkcjonariusz". Pojawiły się fałszywe protokoły odkażania, kłamliwe wpisy w księgach więziennych. Polityka beznadziejnie żałosna, bo mieliśmy dobre informacje... Informacje, których nie był w stanie zdezawuować. Nawet krycie sprawy przez zwierzchników momentami okazywało się "nieszczelne". Na moją skargę skierowaną 2 stycznia 1984 r. do O'rogowego Zarządu Zakładów Karnych, że jesteśmy zmuszani do kąpieli w warunkach zagrażających zdrowiu, dostałem półtora miesiąca później odpowiedź, że dezynfekcja pomieszczenia została dokonana 30 grudnia i wtedy również nastąpiło oddzielenie chorych na żółtaczkę.

Po kąpieli muszę odnaleźć i skopiarować odpis tej odpowiedzi. Nawiasem mówiąc również data 30 grudnia, jako data dezynfekcji spełniającej wymogi bezpieczeństwa przed zakażeniem, budziła nasze wątpliwości. Ustalono ją przecież na podstawie zapisów dokonanych przez tegoż dra Sobolewskiego. W każdym razie po dwukrotnym stwierdzeniu, że wprowadza się nas świadomie w błąd /rzekome odkażenie i zaprzestanie kąpieli "żółtych" przed 8 i przed 23 grudnia/ nie byliśmy skłonni wierzyć żadnym zapewnieniom więziennej służby zdrowia. Żądaliśmy okazania protokołu wyspecjalizowanej instytucji "cywilnej". Władze więzienne konsekwentnie odmawiały spełnienia tego postulatu i w efekcie przez prawie 3 miesiące nie chodziliśmy do kąpieli. Wreszcie na przełomie lutego i marca odkażenia dokonano, kratkę podłogową wymieniono, protokół okazano, a "prywatnie" poinformowano, że to nie brak dobrej woli naczelnika czy lekarza uniemożliwił wcześniejsze załatwienie sprawy, lecz plan finansowy. "Po prostu" środki na opłacenie zlecenia były dopiero w drugim kwartale 1984 r. A oni chcieli dobrze... Dla nas. I nasza wina, że nie chcieliśmy zdecydować się na tak przecież "nieznaczne ryzyko", zarażenia się żółtaczką. Przecież pan wychowawca i pan felczer byli gotowi sami wykapać się w tej łaźni, by udowodnić, że to niczym nie grozi... Trzy miesiące bez łaźni. Tego, czym jest łaźnia dla więźnia nie zrozumie nigdy ten, kto nie siedział w więzieniu! łaźnia! Na dźwięk tego słowa w celi zaczyna się radosne żywienie. łaźnia!, największe brudasy, które na własności myją się 3 razy do roku, pędzą pod prysznic na wyscigi. łaźnia! Największa w więzieniu atrakcja - tuż po widzeniu i paczce. "Zamulenicy", którzy przez cały tydzień nie odzywają się do nikogo i jeśli im się na to pozwoli - nie wychodzą nawet na spacer, na zapowiedź łaźni budzą się z letargu.

Jeśli "zamuleniec" nie chce iść do łaźni - znaczy, że choroba murów osiągnęła już ten stopień, w którym należy spodziewać się próby samobójstwa. łaźnia! Człowiek zamknięty w celi aresztu już po kilku godzinach czuje się brudny, zakurzony, lepki. To uczucie towarzyszy mu nieustannie przez cały okres więzienia, nawet wówczas, gdy już przywyknie do smrodu celi, do specyficznego zapachu więzienia... łaźnia! Smrodliwe, przepoczone łachy ciążące w kąt, wraz z nimi te twoje tysięczne codzienne skurcze strachu, pomóżnienia. łaźnia! Pokryty warstwą mydła stoisz pod prysznicem gorącej wody czujesz uderzenia kropli wody na całym ciele.

Obrzydliwa codzienność więzienna odgródzona od ciębie coraz gęstszym całunem pary, szumem wody, radosnym gwarem współwięźniów. łaźnia! Narasta w tobie uczucie czystości, lekkości, radości, dobra. łaźnia!. Czujesz, jak gdyby brud zniknął nie tylko z twojego ciała, również z twojej duszy. Czujesz się dobry, lepszy. To uczucie spiknięte w kilkadziesiąt minut po

powrocie do codzienności, do celi. Ale tu je masz. I podświadomie będziesz je pamiętał, gdy za tydzień klawisz otworzy drzwi celi i krzyknie: przygotować się do kaźni! Niech będzie błogosławiona kaźnia! Niech błogosławiony będzie ten moment czystości, radości, wolności!... x x x

Poniedziałek, 9 kwietnia, 19 dzień głodówki ciągłej. Od rana czuję się bardzo osłabiony. Męczy mnie każdy ruch. Przy zmianach pozycji / wstawanie, siadanie, nachylanie się, prostowanie / czuję lekkie zawrót głowy. Poruszam się sztywno, starając się, by pozycja korpusu i głowy nie ulegała zmianom. Po myciu trochę lepiej. Nicwiele, ale jest lepiej. Język obłożony. Drapanie w gardle nieco mniejsze niż wczoraj. Herbata, proszki, witaminy, sól, żelazo - jak zwykle. Bólu ud już nie czuję, ale smaruję. Będzie nieco cieplej. Stóp nie smaruję. Zbyt gwałtowna zmiana pozycji. Lepiej nie. Stołec. Hiszpański. Nie zdążyłem zacząć i znów idę na muszłę. W brzuchu dzieje się coś dziwnego. Stołec mikroskopijny - ale jeszcze jest? Wstaję spocöny. W głowie kręci się. Ostrożnie wracam do stolika. Wezwanie do lekarza. Waga? Nie. Badanie ciśnienia. Zagląda w oczy, w gardło. Naciska skórę w górnej części ramienia, na mięśniu dwugłowym, ścisną skórę na piersi... Wypisuje jakąś kartkę. Po raz kolejny powtarza, że karmienie jest nieprzyjemne. Że ryzyko uszkodzenia żołądka, zwłaszcza u "wrzodowca". Zaglądam w kartkę. Dieta - L - 2. Czyli sztuczne karmienie. "Rura". Ano zobaczymy. Wracam do celi. Herbata, witaminy, żelazo, proszki, sól. Papieros. Odpoczynek. Chyba dziś jeszcze nie będzie "rury"...

- Kropiwnicki, do naczelnika!

Wychodzę. Na korytarzu kocioł z białym płynem. "Rura"... Dłtrzykowski i Żuciuk, Żuciuk jako "usztyniacz"? Nie. Siedzi w kącie i udaje, że go nie ma. Jeśli "usztyniacz" to nieaktywny. Jednak trochę "usztyniacz". Trudniej skrócić dystans w rozmowie. A i tak mam problemy z koncepcją rozmowy. Jak tu znaleźć formułę, po wczorajszej bardzo nieudanej "imprezie"? Oni przyszli przyjąć kapitulację. Muszę znaleźć formułę. Jeśli wyjdą stąd w przekonaniu, że kapitulacja jest osiągalna - to podglodujemy jeszcze sobie, podglodujemy... Jeśli zagram bardzo twardo - będzie to niewiarygodne i potraktują to jako "przedkapitulacyjny szpan." I też podglodujemy. Cholera. Jak tu utrzymać poprzedni ton i poprzednią melodię... Po tym wczorajszym. Dobra. Zostaw to "wczoraj". Myśl pozytywnie! Pozytywnie... Wczorajsza wizyta - nawiązanie kontaktu... Ponowne nawiązanie kontaktu... Byłoby tak, bo między 18 a 24 dniem głodówki oni muszą coś zrobić. Po 18 dniu sprawa zupełnie wymknie się z kompetencji władz więzienia. To krytyczny okres.

Literaturę uważa to za okres, w którym zaczynają się nieodwracalne zmiany w organizmie. Nie bez powodu najdłuższa głodówka hrubieszowska skończyła się po 18 dniach. Nasza wrzociowa - barczewska też. I niedawna Bałuki. Dla nich dziś jeszcze jest nasz 18 dzień. Liczę od 23 marca - dnia "manifestu" o głodówce ciągłej. 22 marca nie liczę, bo to była "głodówka rotacyjna". Dziś - jutro muszę jakoś załatwić sprawę. Potem będzie to już chyba poza zasięgiem "okregu". I tak są w jakimś stopniu na "ręcznym sterowaniu" z bardzo wysoka... Ale nie chcą sterowania bezpośredniego. Mogą być jakieś komisje, kontrole - żaden naczelnik tego nie lubi... Jak "wyciągnąć" z niego, ile naprawdę może? A gdyby tak przedstawić sprawę zupełnie otwarcie, szczerze?

Wszysto to przebiega przez myśl z błyskawiczną szybkością. Jestem trochę niezadowolony z siebie, że tę "siemnąstkę" i jej wagę uświadomiłem sobie dopiero teraz... x x x

/.../ Środa, 11 kwietnia, 21 dzień głodówki ciągłej. Wstaję słaby, z lekkim bólem głowy. Poza tym - wszystko w porządku. Herbata, witaminy, żelazo, sól, proszki. Hiszpański. Gramatyka str 121-125. O. Perlin cz. I.

Drzwi otwierają się. Do celi wchodzi Kuza, jeszcze ze dwóch oficerów, kilku strażników. Dreszcz strachu na plecach, serce w gardle. Co się dzieje? Rewizja? Przenosimy do innego więzienia? Chyba bić nie będą? Strażnik wnosi krzesło. Stawia. Wyjmuje z kieszeni kajdanki. Przesłucha-

nie z biciem? Stoje i patrze ogłupiały. Felczer, pielęgniarka z garnkiem. Oddycham z ulgą, - to obstawa do sztucznego karmienia! Ulga i w tym samym momencie przygnębienie: skoro zdecydowali się karmić przymusowo, to znaczy, że na razie "porozumienia" nie będzie. Kuza miota się po celi. Pokrzykuje do strażników, do mnie, wymachuje rękami. Wprowadza bardzo nerwową atmosferę. Staram się nie zwracać na to uwagi. Podchodzę do felczera.

- Co się dzieje, panie doktorze?

- Wiecie, wie pan, wiecie Kropiwnicki, taki przepis - musi być sztuczne karmienie. Uprzedzałem...

Rece mu drżą, nerwowo miętosz swój kitel. Ruch w celi. Kuza staje obok.

Słoń wycofuje się z celi, chowa się za drzwiami.

- Z taką asystą?

- Taki przepis...

- W porządku. Może pan odnotować, że karmienie się odbyło, lej pan tę bryję w kubek. Wypiję. Przy takiej obstawie...

Umyka oczami, jest biały.

- Nie wolno. Musi być przez sondę. Taki przepis.

- Wie pan, że mam wrzody żołądka, że może pan rurą uszkodzić mi żołądek na trwałe.

- Tak, ale taki przepis.

- Tak pan przestrzega przepisów! - krzyczę - Przepisów pan przestrzega!

A o łożni z żółtaczką pan wiedział i przepisy pana nie obchodziły! Stański siedział w celi po chorych na świerzb i też się pan o przepisy nie troszczył! Gdzie były pana przepisy, jak mnie w ósmym dniu głodówki do bunkra zamykali? Gdzie były badania przed karą izolacji - tamte przepisy pana nie obchodzą?!

- Nie mogę, Kropiwnicki, nie mogę. Proszę pana, naprawdę nie mogę... - jęczy felczer.

- Nawet w tej głodówce przepisy pan lekceważy! Ile dni temu powinien pan nakazać karmienie?! Jak często powinien pan sprawdzać wagę?! Ciśnienie?! Temperatury i ciśnienia w ogóle pan nie sprawdza! I pan mi tu o przepisach!

Felczer najchętniej zepadłby się pod ziemię. Widzę, że jest bezradny.

Czuje beznadziejność tej sytuacji.

- No więc jak?! - włącza się Kuza. Będzie po dobroci czy kuciem? Będziesz stawiał opór?

- Proszę nie zwracać się do mnie na "ty". Nie życzę sobie!

- Będziecie stawiali opór?

- To się okaże.

- Kuć go!!!

Rzuca się na mnie kilku strażników. Kotłujemy się po celi. Próbują wykręcić mi ręce. Nie wychodzi.

Kręcimy się w kółko, przewracamy stołki, stolik uderza o ścianę, coś z niego spada, odrywa się zasłona kibla. Kuza wrzeszczy, strażnicy sapia. Wyrwam się z rozpaczą, już wiem, że nie mam rady, że to beznadziejne, ale walczę. Dwóch łapie mnie za ręce, trzeci skacze mi na płacy. Kręcę się jak fryga. Czwarty schyla się błyskawicznie i podrywa mi nogi. Lecimy wszyscy czterej. Jak sprężyn - lądujemy na łożku. Padam plecami na tego z tyłu. Przy upadku udaje mi się wyrwać rękę. Lewą. Na prawej zatraskują się kajdanki. Szarpie się. Siadam. Wyciągam lewą do przodu. Prawą mam wykręconą do tyłu.

- Kuć do tyłu! - ryczy Kuza.

- Chwila, moment - patrzę na oficera służbowego. "Cyganka".

- "Cyganka" gestem powstrzymuje szarpaninę. Patrzy na mnie pytająco, bez wrogości, wygląda jakby był zażenowany...

- W porządku - mówię - może pan rozkuć - dyszę ciężko.

Wehanie w oczach.

- Ty durniu! - ryczy na mnie Kuza - Ty głupi durniu! - Zakuć go! Ręce do tyłu!

- Można rozkuć Kropiwnickiego, skoro tak powiedział, on dotrzymuje słowa - wtrąca Lewandowski.

"Cyganka" już podjął decyzję. Okrzyk Kuzy wyraźnie zmobilizował go, przeżył szalę. Spokojnie wyjmuję z kieszeni kluczyki i w trakcie, gdy Kuza jeszcze krzyczy "Zakuć go?", odpina kajdanki. Słowa Lewandowskiego stanowią "tło muzyczne" dla zdejmowania kajdank, podania ich strażnikowi, chowania

ich do kieszeni munduru.

- Panu nie wolno się tak do mnie odzywać - rzezę do Kuzy.

- Wody poproszę - to do "Cyganki".

Podaje mi kubek wody. Upijam trochę.

- Obiecaliście - mówi "Cyganka".

- Dotrzymam - tylko chwila, niech odzyskam oddech - chrypię.

- Kropiwnicki dotrzyma - basuje Lewandowski.

"Cyganka" gestem nakazuje wyjście strażnikom. Stają w drzwiach. W celi zostają oficerowie: "Cyganka", Kuza i Lewandowski oraz felczer i pielęgniarka. Z uczuciem upokorzenia siadam na krześle. Felczer moczy koniec gumowej rury w białej bryi. Ręce mu się trzęsą. Usiłuje wepchnąć mi rurę do gardła. Uderzenie mdłości, żołądek kurczy się spazmatycznie, rwie się, boleśnie skacze do gardła. Felczer pcha. Skurcz i znowu skurcz i znowu. Ściśnięte gardło nie puszcza rury. Słyszę swój ryk - charkot. Kurczę się cały z obrzydzenia. Skręca mnie. Wewnątrz rwie mnie w nieustannych skurczach. Nie wymiotuję, nie mam czym. Rwący ból wewnętrzny. Z forsowanego przemocą przełyku rozchodzą się kolejne, szybko po sobie następujące skurcze bólu i obrzydzenia. Spazmatyczne beczenia przechodzą w kolejny ryk wydobywający się gdzieś z głębi trzewi. Wreszcie. Rura przestaje się poruszać. Opieram zęby na rurze. Żeby jej tylko nie zwymiotował, bo znowu się zacznie!... Jeszcze wstrząsają mną mdłości. Brodę mam zaślinioną, jestem zasmarkany, z oczu ciurkiem ciekną łzy.

Chwytam kawałek ligniny, który pielęgniarka położyła mi na kolanach i usiłuję się powycierać. Wstyd. Upokorzenie. Rozpacz. Głucha rozpacz. Felczer trzyma rurę, pielęgniarka podaje mu kubek bryi. Wlewa do lejka na końcu rury. Mdłości, skurcze żołądka nasilają się. Kącikiem ust wylewa się gęsta ślina. Jeszcze jeden kubek. Kolejny atak mdłości. Felczer przerywa wlewanie. Oddaje kubek pielęgniarce, szybkim ruchem wyciąga rurę z przełyku. Szarpnięcie, mdłości, obrzydzenie. Część bryi wyrwa się ze mnie w ślad za rurą. Podbiegam do umywalki. Ale nie wymiotuję, choć wstrząsają mną skurcze obrzydzenia. Myję twarz.

Czuję się potwornie. Dokonał się na mnie gwałt. Takie upokorzenie. Przy tylu gapiach. Płaczę z wściekłości, z upokorzenia, z rozpacz. Gryzę ręce. Nie przeżyję tego! Bydlaki! Podetną sobie żyły. Nie przeżyję tego upokorzenia, podeptania godności, kompromitacji! Dostyc tego! Niech to już raz się wreszcie skończy!

Miotam się po celi /felczer i strażnicy opuścili ją natychmiast po zakończeniu karmienia/ zrozpaczony i nieprzytomny z gniewu na cały świat. W pewnym momencie stwierdzam, że trzymam w ręku nóż. Świetnie! Jeden ruch i ....! Przytomnieję.

"Przestań się wygłupiać, Jureczku! - dźwięczy mi gdzieś w głębi mózgu. Co chcesz w ten sposób udowodnić? I komu? Zastanów się chwilę - taki żeś ambitny? No to spróbuj znaleźć bezstronną interpretację tego samobójstwa! "Nie wytrzymał sztucznego karmienia". Proste - nie? Ale przecież... Co, przecież co? No, co? Jeżeli tobie nic do głowy nie przychodzi prócz urażonej ambicji... Bo przecież użyłeś słowa "ambitny". Sam go użyłeś.

I to ma być ten powód? Upokorzenie, zdeptanie godności... W ciekawy sposób rozumiesz tę godność... Nie szukaj wymówek - udało się im doprowadzić cię do załamania... Twoja godność jest w twoich rękach, a nie w ich. Podobno jesteś z nimi w walce... I tak chcesz tę walkę skończyć? Pięknie - nie ma co!...

Leżę na łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę, z rękami zaciśniętymi na kocu. Nie wiem jak długo. Chyba niedługo... Poduszka jest wilgotna. Palce rąk bolą. Puszczam fałdy koców. Podnoszę się. Wstaję z łóżka. Miejsce poprzedniej hysterii zajmuje zimna wściekłość. Spokojnie podchodzę do umywalki, długo myję twarz i ręce. Ja mu, Łobuzowi, pokażę! Podchodzę do stołu. Siadam i piszę skargę na niewłaściwe, obraźliwe zachowanie się ob. Kuzy, oficera służby więziennej, wyrażające się tym, że zwracał się do mnie... Dzwonię. Oddeję skargę, z adresowaną do naczelnika, oddziałowemu. Zaraz przekaże. Jeszcze dziś.

Kładę się na łóżku, zapalam papierosa. W brzuchu coś mi się przelewa, burczy, Reptem czuję, że... Zrywam się, podbiegam do muszli, w biegu rozpi



nając spóźnie. Zdażyłem. W ostatniej chwili. Rozwólnienie. Dosłownie le-  
je się ze mnie. Siedzę długo wstrząsany kolejnymi spazmami organizmu.  
Śmiać mi się chce. Gdybym o ułamek sekundy spóźnił się...

Ten śmiech przywraca mi całkowicie równowagę. Jestem już prawie zupełnie  
pogodzony ze światem. Ohydna scena gwałtu i upokorzenia wydaje mi się jakaś  
odległa, nierealna. Pozostał po niej lekki ból gardła, jak w początkach  
anginy, smak gumy w ustach, burczenie w kiszkiach i smugi jakiegoś obrzyd-  
listwa zaschniętego na koszuli.

Ściągam koszulę, zakładam czystą, od soboty zdażyła na kaloryferze wys-  
chnąć na "pieprz". Ścieram rozlane resztki bryli z podłogi i ze stolika. My-  
ję umywalkę. Narasta we mnie uczucie wstydu. Nie dotyczy ono zdarzeń poprze-  
dzających karmienie i samego karmienia. Tamto było normalne. Że zasmarkany,  
zażwawiony, zarzygany? No to co? Niezależne od mojej woli reakcje organizmu.  
I wcale nie wyjątkowe. Toż przecież felczer z dziesięć razy i w tej głodówce  
i wrześniowej mówił, że sztuczne karmienie, to rzecz bardzo nieprzyjemna i  
dla karmionego i dla karmiących...

Wstydzę się tej swojej hysterii po karmieniu. Nie wiem czy kiedykolwiek  
zdobędą się, by o niej opowiedzieć... Dobrze, że nie było świadków. Czy do-  
brze zrobiłem pisząc tę skargę na Kuzę? - Dobrze. Takiego zachowania nie  
wolno zostawić bez reakcji. Będzie się nieco hamował - i w stosunku do mnie  
i do innych.

Ciekawe sprawa z tym moim "głosem wewnętrznym". Kilka razy w moim życiu  
w dramatycznych momentach przywoływał mnie do porządku. I zawsze w podobny  
sposób - zaczynając od kpiny, od ironii...

Ależ koncepcja - szatan jako histeryczny bufon i Bóg jako Wielki Ironi-  
sta!... Zostawmy ten temat. Trzeba wziąć się do hiszpańskiego, bo nie wyro-  
bię dzisiejszej normy. Ale skąd ja znam ten układ: histeria i bufonada,  
uderzenia ostrymi razami autoironii?.. Skądś to znam. Dobrze: kiedyś sobie  
przypomnę. Sięgam po "A treves..." Mem. Już wiem. Zygmunt Krasiński - "Nie-  
boska komedia"!

Ważenie: 58,600 kg. Od ostatniego ważenia: minus 0,400 kg. Od 19 marca  
minus 5,900 kg. Od 11 listopada: minus 15 kg.

x . x . x

/.../ Czwartek, 12 kwietnia, 22 dzień głodówki ciągłej.

Zrywa mnie z łóżka jakiś niesamowity ryk. Podbiegam do drzwi z sercem w  
gardle. Co się dzieje? Biją kogoś? Słyszę głosy strażników. Przekleństwa.  
Śmiechy. Znowu ryk. Głęboki, wibrujący. Lomot i przekleństwa. Co się dzieje?!  
- krzyczę przez drzwi.

Drzę cały z emocji. Nie wytrzymam. Zaraz zacznę łomotać stołkiem w drzwi.  
Naciskam dzwonek. Znowu ryk. Głosy na korytarzu milkną. Trzymam palec na  
dzwonku. Słyszę, że dołączają się inne dzwonki. To koledzy. Hałas cichnie.  
Otwierają się drzwi. Oficer z białą-czerwoną opaską i Contarczyk.

- O co chodzi?

- Co się dzieje, kogo katujecie?!

Dzwonki w innych celach dźwięczą.

- Nikogo nie katujemy, Słowik jest karmiony.

- Tęci hałas, ryki - to jest karmienie?! Co mu zrobiliście?!

- Nic nie zrobiliśmy. Jest karmienie...

Jest trochę zdenerwowany, ale jego słowa brzmią szczerze. Przypominam  
sobie swoje ryki przy pierwszym karmieniu... Czyżby też tak brzmiały? Teraz  
już chyba nie są tak głośne... Może on ma silniejszy ode mnie odruch wymio-  
tny... Jeszcze silniejszy? - niemożliwe... Hałasu już nie ma. Może rzeczy-  
wiście karmienie.

Chcę zobaczyć Słowika. Nic z tego. Nie ma zgody. Upieram się przy swoim.  
Nie! Grozę awanturą. Przychodzi lekarz. Potwierdza, że to były odgłosy kar-  
mienia, że przecież tak codziennie. Że moje słabsze, ale jakby ktoś usłyszał  
a nie widział, to też... U Słowika rzeczywiście silne, bardzo silne, ale to  
się zdarza. Przecież wczoraj też były takie. No tak, ale w tamtej chwili, za  
podwójnymi drzwiami, może nie było słychać... Uspokajam się. Może rzeczy-  
wiście...

x . x . x

/.../ Wchodzę do szesnastki. Górnego łóżka nie ma. Andrzej leży. Na mój

widok podnosi się z łóżka. Wargi opuchnięte, w kącikach ust zakrzepła krew.

- Cześć Andrzej - mówię radośnie.

Wcale mi nie jest wesoło, ale wydaje mi się, że tak właśnie powinienem. Optymistycznie. Siadam na stołku przy łóżku.

- Cześć Jurék, puścili cię do mnie?

- Puścili.

Patrząc na Andrzeja i czuję dziwny ucisk w piersi. Twarz ma żółtą, ciemne obwódki pod oczami, zapadnięte policzki. Ciemna plama opuchniętych warg i ta zakrzepła krew.

- Andrzej, co się tu dzieje? Dlaczego ta krew...

- Gdzie?

- Tu - pokazuję palcem.

- A, to od szczękorozwieracza, językotrzymacza i innych takich przyborów.

- Ale dlaczego?

- Bo nie dają się karmić.

Z narastającą grozą słucham opowieści o codziennym "rytuale" karmienia. O ściąganiu z łóżka /kiedyś przy tej okazji spadł na ziemię i zaraz potem zabrali górne łóżko/, o wykręcaniu rąk do tyłu i zakuwaniu w kajdanki... O naciskaniu kolanem na kręgosłup, żeby mu wyprostować tułów, o opieraniu nóg na łóżku i siadaniu na kolanach; wyłamywanych w ten sposób do bólu - żeby go unieruchomić, o naciskaniu za uszami, żeby zmusić do rozwarcia zacisniętych zębów.

Andrzej opowiada to jęczącym, zdyszczanym, urwanym szeptem /czyżby mój głos też brzmiał w ten sposób/, trzęsąc głową. Jaka ta głowa wydaje się duża na tej wychudłej, cienkiej, ptasiej szyi! Mówi o wciskaniu rozwieracza szczęk między zęby, ranieniu warg, o ranieniu języka i podniebienia. O "językotrzymaczu"...

- Ale dlaczego, Andrzej, dlaczego?! Przecież nie tak miało być. Językiem rurę bez szarpania się z nimi...

- A je rury nie łknę - chcą włożyć, to niech się pomęczą. Co dzień mnie proszą. Nie ich doczekanie!

Andrzej pokazuje mi smugi siniaków na rękach, granatowo-żółte plamy na nogach... Czuję się bezradny. Narasta we mnie rozpacz. Andrzej przerywa. Pyta, czy nie mam kłopotów z czytaniem, bo on wieczorem nic nie widzi. W dzień też nic dziś nie czytał, bo Gontarczyk złośliwie nie zapalił światła. Dopiero przed chwilą... Ale wieczorem to mu przy świetle trudno. Kurza ślepotę?... Z niepokojem wypytuję, czy bierze sól, witaminy, żelazo. Nie. Dlaczego nie. Dlaczego?! Mówię mu, że odwodnienie organizmu, że niedotlenienie mózgu... Na spacer też nie wychodzi! Cukier też mu się kończy. Mówię mu, że wieczorem będzie słodzona herbata, że trzeba wziąć i "doprawić"...

- To niech mi ją przez rurę wleją! Swoją mogą pić - a tę ich, niech wlewają! - przerywa mi. Więc ja znowu swoje, o odwodnieniu organizmu, o acetonie... Nie wiem, czy przekonałem. Wracam do opowieści o "karmieniu". O tym jak mu zranili gardło, jak spluwał krwią, jak z nosa leciała mu krew. Ten siniak to od upadku na ziemię, ten od żelaznej ramy łóżka... Stawy bolą go od wykręcanie rąk, od siadania na kolanach, za uszami czuje ciągły ból...

X X X

/.../ Niedziela Wielkanocna, 22 kwietnia, 32 dzień głodówki ciągłej. Budzę się na długo przed pobudką. W celi jest dosyć jasno. Słońce wschodzi już bardzo wcześnie. Leżę w łóżku twarzą do okna. Niebo błękitne. Słychać ćwierkanie ptaków. Cicho, spokojnie. Nie słychać jeszcze normalnego życia więziennego - szczęk zamków i krat, tupotu kolumn więźniów; okrzyków strażników, dźwięków dzwonek, hałasu samochodów ciężarowych oraz bud "do transportu skazanym". Wiosenny pogodny poranek niedzielny. Jest mi dobrze. Leżę pod trzema kocami i podwójną warstwą gazet włożoną między koce. Przy każdym ruchu rozlega się cichy stłumiony szefst papieru. Jest mi ciepło. Z najwyższą niechęcią myślę o tym, że trzeba będzie wstać. Jeszcze nie teraz.

Słyszę kroki na dziedzińcu, popiskiwanie, jakieś strofująco-uspokajające słowa. To chyba strażnik odprowadza psy po "nocnej służbie". Trząsk

otwieranej bramy, głosy kobiece, ostry stukot kroków - przychodzi personel szpitala więziennego i przychodni. Częstotliwość trzasków otwieranej i zamkniętej bramy zwiększa się. Rośnie gwar głosów, zwiększa się tempo kroków. Główna fala przeszła. Trzaski bram rzadsze, kroki szybsze - to "spóźnialscy" z dziennej zmiany - strażnicy, personel administracyjny, pielęgniarki, lekarze. Słyszę dzwonek telefonu w dyżurce, odległy odgłos wyrazów rzuconych do słuchawki. Potem kroki na korytarzu, milknące w dosyć regularnych odstępach. Pobrząkiwanie kluczy niesionych w rękę, szmer odsuwanych kukli - w tej ciszy słycać to niezwykle wyraźnie. Kroki zamierają pod moją celą - bryzg światła, przecież już dzień, widać wewnątrz celi? No tak, pewnie regulamin... Może na "kogucie" /wieża strażnicza" na murze więziennym prowadzą kontrolę nocnych "kuklowań" /zagładanie do cel/, czy też nie. Obchód skończony. Otwiera sąsiednie drzwi. Z prawej strony. Budzi kalifaktorów. Słysząc zaspiane głosy budzonych i łajanki strażnika. Dźwięk kotłów. Szczęk otwieranej kraty kończącej korytarz. Słyszę ich jak idą dziedzińcem, pod oknem. Dzwonek. To brama. Nie. Wejście do naszego oddziału. Szybkie kroki, szczęk zamka, głośne powitanie. Zmiana służby. Niedługo pobudka. Jeszcze chwilę poleżę.

Szczęk zasuw, zapalenie światła w celach. Trzeba wstać. Zanim się umyję, ogolę, posiedzę na muszli, przygotuję herbatę, wypiję - to akurat będzie transmisja radiowa mszy. Poze tym - zapowiedziano wczoraj mszę, ale nie podali o której. Mogą wpaść na pomysł zrobienia jej dla nas o 8-mej. Wprowadzie do tej pory organizowali mszę w godzinach popołudniowych - ale kto wie.

Chciałbym mieć przedtem "rozruszamy" organizm. Wstaję. Uwinąłem się ze wszystkim przed 9-tą. Stolca nie było mimo moich wysiłków. Przy goleniu /bardzo długa obecnie operacja/ zaciąłem się tylko 4-y razy. Wypiłem herbatę. Zapaliłem papierosa. Początek transmisji zastał mnie umytego, ubranego, rozgrzanego herbatą, przy stoliku "do nauki".

Po mszy słyszę kroki na korytarzu, głos Stańskiego, potem Patryka, Piotrka. Prowadzą ich kolejno do "dwójki". Czekam na swoją kolej. Minuty mijają, nic się nie dzieje. Co jest? Naciskam dzwonek. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Oddziałowy /jakiś nowy/, oficer i jeszcze kilku funkcjonariuszy. Oficer wyjaśnia, że pójdę w "drugiej turze". Dziewięciu na "dwie tury" - absurd. Chyba nie "robią numeru"? Czekam cierpliwie. Wreszcie słyszę wykrzykiwanie: "Boże, coś Polskę". Głos Patryka słycać wyraźnie. Tada i Piotrka - słabiej.

Odprowadzają ich. Teraz nasza kolej. Nasłuchuję: Andrzej, Romek, Leszek. Otwierają się drzwi - Na mszę! Na korytarzu rewizja. Obmacują, sprawdzają zawartość kieszeni, przeglądają książeczkę do nabożeństwa. Prowadzą do "dwójki". Witam się z kolegami, z zakonnikiem. Romek krząta się przy ołtarzu. Rolę tę spełnia stolik ze specjalnymi podstawkami - żeby był wyższy.

x x x

/.../ Msza przebiega normalnie. Większe tylko wzruszenie - pierwsza po tak długiej przerwie. Wzruszenie widać także u zakonnika. W tak egzotycznej sytuacji jeszcze nie był...

Po podniesieniu muszę skorzystać z pomocy Leszka, żeby wstać z kolan. Słaby jestem. Do Komunii nie odważyłem się klęknąć. Natychmiast po - "Idźcie, Ofiara skończona" zaczynamy "Boże, coś Polskę". W tym zestawie nikt chyba nie ma słuchu muzycznego. Nieważne. Głośno. Coraz głośniej /.../ Zwyczaj śpiewania tej pieśni przynieśliśmy tu my, z "Solidarności". Nadzór więzienny, po pewnym zaniepokojeniu - jakos to "przełknął". Śpiewaliśmy tę pieśń od drugiej mszy, od października.

/.../ Zakaszlałem się, brakuje mi oddechu, ale przecież w tym gronie ja dysponuję najsilniejszym głosem. Leszek ma "starą" chorobę strun głosowych, Władek, Romek i Andrzej mają "średnio doniosłe" głosy. Andrzej jest "na do-datek" zupełnie bez formy. Posiadacze silnych głosów - Patryk i Piotrek byli w poprzednim zestawie...

A tu trzeba mocno, głośno. Bo my to im w twarz rzucamy, bo chcemy żeby całe więzienie słyszało... Bo to nam potrzebne. Bo to przywraca nam poczucie godności i siły. Więc choćbym miał płuca wypluć i skonać po ostatnim "racz nam wrócić, Penie!..." Ale dopiero po ostatnim! Wcześniej nie wolno.

Jedno Tve słowo, ziemskich władców Panie,  
Z prochów nas podnieś znowu będzie zdolne,  
A gdy zasłużym na Tve ukaranie -  
- obróć nas w prochy, ale w prochy WOLNE!

To "wolne" wykrzykujemy nieomal wypluwając płuća, aż pogłos "wolne" echem wraca z korytarza. Strażnicy na zewnątrz budzą się. Dociskają drzwi. Jak gdyby wróciły nam wszystkie siły, cała energia, jak gdybyśmy się z ciał wyrwali i tylko już głosy z nas zostały. Głosy silne, wyrrywające się poprzez rygle, kraty, mury gdzieś tam daleko, wysoko... Po raz drugi tutaj słyszę krzyk Leszka. Słyszę niesemowite napięte, do granic możliwości organizmu Łazkiego głosy Romka, Władka, Andrzeja. Ostatnie

Przed Tve ołtarze zanosim błaganie

Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!

to już nie śpiew pięciu nie najlepszej kondycji fizycznej mężczyzn. To nie zadyszane rżenie dwóch "głodomorów", szept "strunowca", "bełkótkliwy akompaniament kalek muzycznych". Jest to huk wrzawiający w drżenie mury, orkan nieokiełzany, dla którego nie ma barier, przeszkód, murów...

Zakonnikowi łzy ciurkiem ciekną po twarzy. "Pobożny" zrywa się i ocierając twarz rękawem wybiega z celi. Kończymy wyczerpani. Długo nie mogę odzyskać oddechu. Ale czuję się dobrze, lekko...

Romek bierze talerz z kawałkami poćiętego w "ósemki" jajka na twardo. Moment zawahania - decyduje się jednak "uściubić" symboliczny kawałek "ósemki". Składamy sobie życzenia, wracamy do celi.

Po powrocie siadam ciężko na łóżku i zgięty w pół siedzę tak - nie wiem jak długo. Nie mam sił. Nie chce mi się zdjąć kurtki. Nie chce mi się nawet położyć. Trwam tak nie poruszając się i o niczym nie myśląc.

Z odrętwienia wyrwa mnie wejście ekipy "karmicieli". Nieznani. Zeżenowani, wyraźnie czujący się nie swojo. Przepraszają, wyjaśniają - oni ze świątecznego dyżuru z miasta, oni z więzieniem nie mają nic wspólnego... Starają się postępować bardzo delikatnie, ale niewiele to zmniejsza moje odruchy wymiotne...

Jestem wyczerpany. Potwornie wyczerpany. Czas do kolacji spędzam leżąc na łóżku. Nic nie robię. O niczym nie myślę. Nic mi się nie chce. Nawet spać. Do kolacji jest słodzona herbata. Biorę cały litrowy słój - będzie na rano. Zagotowuję tę herbatę, doprawiam esencją. Czuję się już nieco lepiej. Uświadamiam sobie, że jakoś mniej dziś odczuwam chłód. Sprawdzam kaloryfer - gorący. Znowu grzeją.

Najchętniej już bym się położył. Jeszcze nie mogę. Trzeba zrobić zapis dnia... Zrobione. Jeszcze tylko "zapis fizjologii": stolca brak, wzdęć jeszcze mniej niż wczoraj. Kończę, równo ze zgaszeniem światła. Jak zwykle jeszcze przez jakąś godzinę nie mogę zasnąć. Chyba godzinę, bo dwa razy przeżywam błysk zapalonego światła i szmer przesłony kukła a do północy sprawdzają co pół godziny...

/.../ Śmierć i cierpienie. Cierpienie i śmierć. Muszę się przecież liczyć z taką konsekwencją głodówki. Wbrew stwierdzonej stabilizacji wagi po owym pierwszym okresie 2 - 3 dni, kiedy odnosiłem wrażenie poprawy kondycji fizycznej, mam uczucie narastającego osłabienia. Okresy porannej niesprawności, braku precyzji ruchów, przedłużają się. Celenie wymaga coraz więcej koncentracji i pochłania coraz więcej czasu.

Przestałem zamiatać podłogę, problemem jest schyłanie się. Podniesienie długopisu z podłogi, to cała operacja. To drętwienie kończy przy leżeniu. Siedzieć na stołku też już nie mogę. Dziś musiałem położyć złożony koc, bo miałem wrażenie, że siedzę na kościach. Chroniczne już marznięcie stóp i dłoni.

Na spacerunku, mimo wszelkich wysiłków, by zachować fason, coraz bardziej powłóczę nogami. Poprzednie korzonki, obecne zaziębienie - to chyba symptomy tracenia odporności organizmu. Mam świadomość powolnego gaśnięcia. Właściwie nie dotyczy ono tylko sfery psychicznej. Uczyć mogę się nadal. Myślę chyba sprawnie.

Co do tutejszych lekarzy - to mam do nich "zaufanie". Pozwolą mi zgasnąć. Potem zajmą się udowadnianiem, że "opieka była właściwa".

Może przesadzam. Ale nie mogę wykluczyć takiej ewentualności. Ewentualności śmierci, z wyczerpania. Lub na skutek jakichś nieodwracalnych zmian w układach czy narządach wewnętrznych. Śmierć. Z taką ewentualnością liczyłem się, gdy zaczynałem tę głodówkę. Spychałem ją gdzieś ze swojej świadomości, starałem się o tym nie myśleć... Ale w tym spychaniu, w tej ucieczce - czy był lęk? Czy obawa przed śmiesznością? Przed poczuciem "tworzenia dramatu, tragedii" tam, gdzie nic takich obaw nie uzasadnia? Dziś tej obawy nie mam. Mogę myśleć, pisać o śmierci, jak o czymś realnym. Czy boję się śmierci? Kiedyś zapewne zaczął się znowu bać jej. Ale teraz - nie. Nie dzisiaj. Nie boję się śmierci od 16 grudnia 1981 r. To ogromna zasługa panów prokuratorów - Ekierta i Tomżyńskiego. 16 grudnia, w Komendzie Wojewódzkiej MO w Łodzi viceprokuratorzy wojewódzcy zapoznawali mnie z aktami sprawy.

Przyprowadzono mnie z "dołka" /aresztu w komendzie/, z ciemnej i brudnej nory do jasnego, czystego, normalnego biurowego pokoju. Zarośnięty, nieświeży, ze zmrużonymi od blasku jasnych żarówek oczami, czytałem akta sprawy: tekst ulotki, zeznania świadków, akt oskarżenia... Panowie cierpliwie czekali. Przeczytałem, podpisałem. Aplikant /?/ zabrał akta.

Ma pan jeszcze jakieś pytania. Proszę pytać, panie Kropiwnicki, proszę pytać, panie doktorze. Te artykuły? To z Dekretu obejmującego przepisy karne stanu wojennego. 46.1 mówi o kontynuowaniu działalności związkowej, 46,2 o kierowaniu akcją protestacyjną. Zagrożenie? /spoglądają na siebie smutnie kiwają głowami/. Proszę zrozumieć. Nie będziemy panu stwarzać fałszywych nadziei... Zbyt wiele szacunku...

Panie doktorze, proszę zrozumieć, stan wojenny, to rodzaj terapii wstrząsowej dla społeczeństwa. Bardzo ostrej terapii. To może wymagać także ostrych kar. Bardzo ostrych. Proszę zrozumieć, panie doktorze. Na dzień dzisiejszy - to się oczywiście może zmienić, ale na dzień dzisiejszy, to tak na 99% będziemy musieli domagać się kary śmierci. I to bardzo prawdopodobne, że taki wyrok zapadnie. I zostanie w krótkim terminie wykonany. Pan rozumie: społeczeństwo musi przeżyć wstrząs. Terapia szokowa. Coś jeszcze mówią, nie słyszę ich. Wierzę im. Uwierzyłem im. Są zmartwieni, jest im przykro. To może być gra. Gdyby powiedzieli mi to w śledztwie, traktowałbym to jako grę. Jako pogroźkę, której celem jest "zmiękczenie" mnie, wymuszenie jakichś zeznań, może nawet wymuszenie podpisania jakiegoś parszywego oświadczenia - takiego, jakie podpisał nasz komisarz strajkowy Marek Burski.

Ale śledztwo już się skończyło. Akta podpisane i oddane. Koniec sprawy. Teraz już tylko sąd. Oni nie mieli już żadnego interesu do mnie. Uwierzyłem. Uwierzyłem i ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie wzbudza to we mnie paniki. Pierwsza myśl: jak to dobrze, że nie dwa lata wcześniej. Człowiek musi kiedyś umrzeć. Gdyby zdarzyło się przed 1980 - tym - jakoś głupio. Żył, umarł - nic. Ani życie specjalnie ciekawe...

A tak - nażyłem się przez te półtora roku! Boże, jak ja się nażyłem! Czuję, że żyję! Te kilkanaście miesięcy warte są takiej ceny. I taka śmierć. Ona może się przydać. Może posłużyć sprawie, dla której żyłem...

/.../ Bałem się bicia, bałem się innych dotkliwosti życia więziennego. Bałem się o kolegów. Ale śmierci nie. Przecież uwierzyłem we własną śmierć. Umarłem wtedy, 16 grudnia 1981 roku. Od tej pory żyję "na kredyt". Przeżyłem własną śmierć. Nie można umrzeć dwa razy. Może kiedyś znowu zaczął bać się śmierci. Gdy uwierzę w życie, w jego trwałość.

Teraz nie boję się. Śmierć. Problem jedynie w tym, by nie była bezużyteczna. Wtedy, 16 grudnia 1981 r. nie byłaby. Teraz?... Śmierć w więzieniu w wyniku głodówki... Głodówki o prawa więźniów politycznych. O godność ludzką. To ma sens. Może to wreszcie spowodowałoby, może to wreszcie spowoduje załatwienie tej sprawy. Może przerwany zostanie łańcuch poniżeń, upokorzeń, demoralizacji, cierpień...

Może polityczni, ci którzy są i którzy /jak dowodzi historia PRL/ będą, nie będą musieli przechodzić przez to, przez co przechodziliśmy my i nasi poprzednicy. Może przestaną stawać wobec wyboru między chronieniem swej godności, systemu wartości, jaki wyznają, a chronieniem zdrowia i życia...

Może nie będzie już takich, jak D., czy O., którzy wyszli z więzienia przez gabinet psychiatryczny i takich, którzy w rozpaczny targnęli się na własne życie i takich, którzy w wyniku walki o swe prawa wyszli z więzie-

nia ze zrujnowanym zdrowiem. I takich, których system więzienny zakał. Tych, którzy przyjęli na siebie rolę donosicieli... I tych, którzy wyszli z więzienia z tatuażami.

Widziałem i takich i takich i takich i takich... Siedziałem z nimi w tym samym więzieniu, w tej samej celi... Dlatego podjąłem walkę. Dlatego walczę. Oferowano mi indywidualne przywileje, "bo doktor, naukowiec, człowiek wykształcony, bo środowisko..." "Prywatne ciepłe gniazdko!". To mnie nie interesuje... Śmierć. Wdzięczny jestem panom viceprokuratorom Wojewódzkim, że uwolnili mnie od łoku przed nią.

x x x

/.../ Wtorek, 24 kwietnia, 34 dzień głodówki.

W ten sposób nasz wspólny protest trwający bez mała 6 miesięcy został zakończony. Nie oznacza to, że wszystkie jego powody ustały. Dlatego też nasze starania o prawa więźniów politycznych w PRL i humanitarne warunki pobytu w tutejszym Z.K. będziemy kontynuować, choć mniej dramatycznymi środkami - licząc w tym względzie na pomoc i modlitwę ks. Prymasa i Episkopatu. W imieniu kolegów podpisuje Romek i ja.

Lisowski rzeczywiście "podkręcił" administrację. Co chwila coś wnoszą, coś chcą kwitować. Mamy już własne dresy, piżamy, koszule, obuwie sportowe i letnie, kucharki elektryczne, przedłużacze. Lampki nocne będą w poniedziałek - "jakiś baran zlikwidował te, które wam zarekwirowano". Przynoszą książki, kończą wyposażanie świetlicy. Jeszcze tylko ten drażek do gimnastyki...

Do łóżni puszczają mnie razem z Andrzejem. Kiedy patrzę na niego - w gardle coś ścisnę - Oświęcim, Biafra... Mówię mu to. Reaguje z humorem: - "sam popatrz do lustra"...

"Wstępny rozruch" organizmu /bulion - z własnych zępasów - i surowe jajko/ przechodzi łagodniej niż się spodziewałem.

Postanowiłem wrócić do "swojej" celi. Do "szesnastki". Postanawiam skończyć pamiętnik. Nie chce mi się prowadzić stałego, systematycznego dziennika. Ale jestem zadowolony, że prowadziłem go przez cały czas głodówki...

Kącik humoru

D O N O S

W "Trybunie Ludu" z dnia 23/24 listopada br /Nr 273/ ukazał się artykuł pt. "Co się kryje za sensacją wokół AIDS". Redakcja zaznacza, że jest to przedruk tekstu, jaki wydrukowano na łamach tygodnika moskiewskiego "Litieraturnaja Gazieta".

Jak się dowiadujemy, AIDS /nabyty zespół braku odporności/ to "zupełnie nowy typ wirusa, wyprodukowany przez "specjalistów z /amerykańskiego/ Fort Detrick", którzy "stworzyli jeszcze jeden rodzaj broni biologicznej".

"Wszystkie ofiary AIDS - czytamy - są rezultatem kolejnego potwornego eksperymentu". Eksperyment oczywiście przeprowadzono na zlecenie... Pentagonu i centrali amerykańskiego wywiadu CIA. Dalszych bredni nie warto cytować.

Jako źródło swych informacji "Litieraturnaja Gazieta" wymienia bliżej nieznany indyjski dziennik "Patriot" /widocznie zagraniczny organ naszego PRONu/

Po przeczytaniu tego steku idiotyzmów, świadczących o krańcowej ignorancji ich autorów, możemy wysunąć przypuszczenie, jak doszło do zamieszczenia artykułu w "Trybunie Ludu". Do centralnego organu partyjnego dostał się chyba zakamuflowany wróg Związku Radzieckiego, który postanowił w ten sposób ośmieszyć naszego Wielkiego Przyjaciela.

Zawiadamy o tym kogo należy i wzywamy do czujności. /g/.

Kwartalnik Społecznej Komisji Zdrowia

Druk Terenowy Komitet Oporu "Solidarność" Region Mazowsze

Cena 80 zł.